# HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I LIPIEC 1946 NR 7

SUISSE SZWAJCARIA SCHWEIZ





## SPIS TREŚCI



*Na okładce reprodukcja drzeworytu*
*Władysława Skoczylasa*

*Klisze reprodukcyj dzieł malarzy i grafików polskich*
*zostały wykonane z książek:*

*Alfred Kuhn, Die polnische Kunst, 1930, Berlin*
*Franciszek Siedlecki, Grafika polska, 1927 Warszawa*

*Redakcja: Fribourg, Suisse, Case postale 247, Téléphone 2.18.92.*
*Compte de chèques postaux II a 3219.*

# HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I LIPIEC 1946 NR 7

*Andrzej Bobkowski* (Francja)



# KEYSERLING

28 kwietnia b. r. zmarł w Innsbrucku Herman Keyserling, jeden z najznakomitszych myślicieli naszych czasów. Tak, jak o zmarłym niedawno Lordzie Keynes'ie powiedział premier Atlee, iż w obecnych burzliwych czasach Anglia nie może sobie pozwolić na utratę takich ludzi, tak o Keyserlingu można by powiedzieć podobnie: Europę dzisiejszą nie stać na ubytek tego rodzaju umysłu.

W czasach, w których nad całą Europą wraz z tym wszystkim, co uważa się za jej kulturę, stawia się coraz częściej „postępowy" znak zapytania, a Zachód z całym jego dorobkiem duchowym zostaje poddawany gwałtownym próbom rozbicia przy pomocy zręcznie upozorowanego zaburzenia równowagi umysłów od najbardziej przeciętnych począwszy i na najświetniejszych skończywszy — śmierć Keyserlinga jest bezsprzecznie utratą najwyższej wartości busoli myślowej. Był on nią dla każdego człowieka, który zmęczony ogłupiającym dreptaniem w kole ciągle tych samych pytań i programowych odpowiedzi, odczuwał potrzebę pójścia dalej.

Dziś, gdy nowoczesna sofistyka zaczyna święcić coraz większe tryumfy we wszystkich pracach i przejawach myśli ludzkiej, utrata Keyserlinga jest śmiercią kogoś, kogo jedynie możnaby przyrównać do Sokratesa — Sokratesa nowoczesnego świata. Bo może żaden z myślicieli naszych czasów nie potrafił tak znakomicie, jak on, wydobyć na jaw istoty wszystkich problemów nowego świata, wyczuć dokładniej rzeczywistości i kierunku rozwoju obecnej ludzkości, ostrzegać i — snując swe rozważania — nie odbiegać od życia, od żywego człowieka. Nikt tak, jak on, nie potrafił rozbrajać min psychologicznych, których stawianie przez jeden naród w umysłach innych ludów zaczęło rozwijać się jako nowa broń po pierwszej wojnie światowej. To też śmierć jego jest tym większą stratą, że przypada w momencie, w którym technika minowania psychologicznego jest w pełnym rozwoju, a wprowadzenie jasnej myśli na zaminowane w ten sposób morza umysłów staje się nie lada wyczynem. Z tego punktu widzenia Europa traci w Keyserlingu wybitnego specjalistę.

Keyserling nie był filozofem w tym znaczeniu, w jakim pojmuje to ogół. Wiemy, i być może nie należy się temu dziwić, że w obecnym wieku techniki panuje tendencja ośmieszania wszystkiego, co ma związek z filozofią, a okre-

ślenie „filozof“ bywa często stosowane wśród ludzi nawet bardzo kulturalnych, jako epitet określający w najlepszym wypadku pewną właściwość umysłu lub spojrzenia, wobec których należy zachować pobłażliwość. Jeżeli z jednej strony przypisać to należy pewnej pogardzie myśli, jaka lansowana jest dziś świadomie do wszystkiego, co wykracza ponad rozumowanie łatwostrawnego reportażu i dostrojonego do beku trzody komentarza radiowego, to z drugiej strony należy to zawdzięczać bez wątpienia wyczynom tych filozofów ostatniej doby, głównie niemieckich, o których Keyserling — z właściwą mu nieraz gwałtownością i dowcipem — nie waha się powiedzieć, że „filozofia ich jest najczystszym wyrazem najprawdziwszej onanii umysłu, jaki znam w historii“. On sam stanowił jaskrawe zaprzeczenie tego rodzaju filozofów i jeżeli całą jego przebogatą twórczość chce się nazwać filozofią, to jest ona przede wszystkim filozofią stosowaną — w tym samym znaczeniu, w jakim używa się tego określenia w odniesieniu do sztuki.

Na pewno żadnemu z filozofów doby obecnej nie udało się spełnić lepiej tego nakazu w dziedzinie myśli, który tak dobrze sformułował Bierdiajef: „Filozofia powinna być działaniem, służyć polepszeniu życia, być praktyczną — taką, jaką starali się ją uczynić wielcy filozofowie, a przynajmniej ci, którzy nie wyrzekli się zupełnie mądrości. Prawdziwa filozofia, ta która jest mądrością, nie może pozostać filozofią szkolną... Trzeba, aby filozofia zbliżyła się do praktyki, jak trzeba, by język filozoficzny zbliżył się do języka potocznego“. I właśnie to zbliżenie się filozofii Keyserlinga do praktyki i dostosowanie jego języka filozoficznego do języka potocznego, dało mu niewątpliwą wyższość nad innymi, współczesnymi mu myślicielami, i zapewniło tak silne promieniowanie jego myśli, a co za tym idzie — jej działanie.

Jest rzeczą dziwną, że w czasie, gdy tłumaczono u nas tyle książek, gdy A. Huxley, B. Russel i Bierdiajef zostali przetłomaczeni na język polski i byli dyskutowani nie tylko w „Ziemiańskiej“ lub „Simie“, nie ukazało się (o ile wiem) nie tylko żadne tłumaczenie Keyserlinga, ale nawet jego nazwisko było nieznane. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, że w całej Europie przedwojennej było o nim głośno, a każdy jego odczyt lub cykl odczytów, był wydarzeniem w życiu kulturalnym stolic europejskich. Szkoda, że pozostał on dla nas nieznany, tym bardziej, że chociażby znajomość jego świetnych analiz poszczególnych narodów byłaby się bardzo przydała niejednemu z nas w jego wędrówkach wojennych po świecie; nie mówiąc o rozszerzeniu kręgów myśli i uelastycznieniu jej w zetknięciu się z tym wszystkim, co się działo, co dzieje się ciągle, a czego tak wielu z nas, mimo woli zamykających się w t. zw. ,.polskim ghecie“ tak często nie rozumie.

Keyserling pochodził ze starej, arystokratycznej rodziny kolonistów bałtyckich. Urodził się w r. 1880 w Estonii, w rodzinnej posiadłości Raykull. Uważał się zawsze za przedstawiciela Bałtów, co nie przeszkadzało mu twierdzić, że właściwie w pierwszym rzędzie jest sobą, w drugim rzędzie arystokratą, w trzecim Keyserlingiem, w czwartym człowiekiem Zachodu, w piątym Europejczykiem, w szóstym Bałtem, w siódmym Niemcem, w ósmym Rosjaninem, wreszcie w dziewiątym Francuzem.

Jako chłopiec nie wykazywał żadnego zainteresowania problemami intelektu i miał wybitny wstręt do wszystkiego, co abstrakcyjne. Wstręt ten pozostał mu aż do końca. Wychowany do późnego wieku chłopięcego pod kie-

rownictwem domowych nauczycieli, po śmierci ojca oddany został do rosyjskiego gimnazjum w Pernau. Wątły i delikatny dotąd chłopak, szybko musi dorównać silnym i zawadiackim kolegom. Tu wyrabia się w nim to, co nazwie później „płodnością braków". Ta płodność jest tak wielka, że na Uniwersytecie w Dorpacie (1898 — 1900) znany jest w korporacjach jako sławny zabijaka i awanturnik. Ciężko ranny w pojedynku, traci na lata całe fizyczną możliwość kontynuowania dotychczasowego trybu życia. Zmienia go to w intellektualistę.

Opuszcza Dorpat i studiuje w Heildelbergu geologię. W r. 1902 uzyskuje stopień doktora. Nie wie co robić dalej; nauka i filozofia w postaci uprawianej na uniwersytetach nie pociągały go.

W tym czasie czyta sławne wówczas „Grundlagen des XIX-en Jahrhunderts" Houston'a Stewart'a Chamberlain'a, tego dziwnego, zniemczonego pod wpływem Wagnera, Anglika. Nar. socjalizm uważa go za prekursora teorii rasizmu i to on ujrzawszy Hitlera wśród pielgrzymów w Bayreuth w r. 1923 (Chamberlain był żonaty z córką Wagnera, Ewą) napisał do niego ów sławny list, przepowiadający mu karierę Führera. Jeszcze jeden dowód angielskiej intuicji. List ten jest dziś specjalnie pikantny.

„Wrażenie, jakie książka ta wywarła na mnie, było olbrzymie. Zrozumiałem nagle, że jeżeliby mi było danym spotkać człowieka, któryby napisał podobne dzieło, nie czekałbym długo na odkrycie, do czego jestem zdolny" — pisze Keyserling w doskonałym szkicu autobiograficznym, dołączonym do krytycznego studium filozoficznego p. t. „Menschen als Sinnbilder". Natychmiast wyjeżdża z Heidelbergu do Wiednia, by tam spotkać się z Chamberlain'em, gdzie jego wpływ, jego rola „zapalnika" została całkowicie spełniona. Już w 1903 r. Keyserling „wybucha" i pisze kilka krótkich studiów, uwalniając się równocześnie spod wpływu Chamberlain'a, z którego teoriami rasistowskimi nie mógł się zgodzić od początku do końca, za co m. in. tak źle był widziany w hitlerowskich Niemczech.

Opuściwszy Wiedeń, gdzie wg słów A. Harnack'a Chamberlain był dla niego akuszerem, Keyserling udaje się do Paryża, czyniąc stąd częste wypady do Anglii. Tu powstaje w latach 1904—1905 pierwsza, większa praca — „Das Gefüge der Welt". Budzi się w nim zamiłowanie do filozofii krytycznej. W r. 1906 stara się bez skutku (z czego jest jakby dumny) o docenturę przy katedrze filozofii w Berlinie. W jesieni 1907 wygłasza cykl wykładów na wolnym Uniwersytecie w Hamburgu, opublikowanych w r. 1910 p. t. „Prolegomena zur Naturphilosophie".

Od r. 1908—1911 Keyserling zarządza swoją ojcowizną, dzieląc czas pomiędzy rolnictwo, podróże i pisanie. W jesieni 1911 r. wypływa z Genui w długą podróż: Ceylon, Indie, Chiny, Japonia, Wyspy Pacyfiku, Ameryka Północna. Owocem tej wielkiej podróży jest napisany między r. 1914 a 1918 „Dziennik Podróży Filozofa". Dzieło to, pisane w Raykuli w czasie wojny (Keyserling zwolniony był od służby w armii rosyjskiej ze względu na słaby stan zdrowia) zostaje opublikowane w r. 1919 i uzyskuje niespodziewane przez niego powodzenie.

„Dziennik Podróży Filozofa" (Reisetagebuch eines Philosophen) jest czymś zupełnie nowym w literaturze filozoficznej. Jest to wspaniała analiza zwiedzanych krajów i charakterystyka ludów, pełna dygresji i uwag, nieoczekiwanych spostrzeżeń i opisów, w których myśl przerzuca się kolejno z dziedziny świetnej

obserwacji do rozważań zawsze aktualnych problemów. Śmiało wykreśla on tutaj drogi dla tych wszystkich, dla których chrystianizm nie jest tylko formułą, lecz zdecydowaną formą europejskich wiecznych prawd. Płyną szybkie wywody na temat — jakże ciągle istotny — Wschodu i Zachodu, zagadnień cywilizacji i ich współżycia. Na tle kultur dalekiego Wschodu już wtedy dostrzega Keyserling, że jeżeli przez barbarzyństwo rozumie się niszczenie lub brak form kultury, to bez wątpienia żyjemy w epoce rosnącego barbarzyństwa, że uświęconym motywem niszczenia wszystkiego stał się ideał lepszego życia. Tymczasem abstrakcyjne ulepszanie lub logiczny zbiór koncepcji nie jest w stanie zmienić naprawdę rzeczywistości społecznej Zachodu. Burzymy więcej, niż budujemy.

Obok podobnych rozważań wykwitają raz po raz kapitalne obserwacje jak np.: „Skąd wiem, że stonoga jest tworem doskonałym? Nie sposób podać tu jakiś szczególny powód, ale fakt jest zupełnie jasny; okaże się on zupełnie jasnym każdemu, kto potrafi „wejść w skórę“ innych istot. Ta oczywistość, właściwa każdej doskonałości, jest naprawdę godna uwagi: w granicach przyjętych narzuca się ona nawet najmniej spostrzegawczemu. Żaden przykład nie wykazuje tego jaśniej, aniżeli przykład Anglika. Ilekroć znajduję się w obecności reprezentanta tego narodu uderza mnie kontrast, istniejący pomiędzy ubóstwem jego talentów naturalnych, ciasnotą jego horyzontu i szacunkiem, jakim napawa on zarówno mnie jak i każdego innego. Nawet najznakomitszych spośród nich (oczywiście tu, jak i wszędzie, naprawdę znakomici pozostają poza ramami ogólnych rozważań) trudno jest brać poważnie w sensie istot intelektualnych; robią oni na mnie wrażenie zwierząt, które posiadając pewną ilość nieomylnych instyktów, opanowują świetnie pewien odcinek rzeczywistości, będąc poza tym ślepymi i niezdatnymi. Brak im często — i to w stopniu zupełnie nadzwyczajnym — oryginalności, jakkolwiek są oni zresztą tak naturalni, jak tylko można: każdy z nich myśli, czuje i działa, jak jego sąsiad; życie wewnętrzne nie sprawia u nich żadnej niespodzianki. Ale, identycznie jak w stosunku do zwierząt, tak w stosunku do Brytyjczyków, nie mogę przeszkodzić temu, by nie brać ich takimi, jakimi są: przedstawiają oni absolutną realizację ich możliwości; są oni całkowicie tym, czym mogliby być. I tu właśnie kryje się przyczyna ich mocy przekonywania, ich wyższość nad innymi narodami Europy (wyższość, która obecnie nie podlega dyskusji) a także powód zaraźliwego charakteru ich natury; oni jedni wśród wszystkich Europejczyków są naprawdę doskonałymi w swoim rodzaju; a każdy skłania czoła przed doskonałością. Nieskończenie bogatsza natura Niemca nie znalazła jeszcze swojego kształtu; oto dlaczego nie jest on jeszcze nigdzie przyjmowany bez przyczyny wyższej“.

Sukces „Dziennika“ polegał przede wszystkim na tym, że obok żywych obserwacji, przedstawione w nim problemy osobiste autora były równocześnie problemami powszechnie ludzkimi. Gdy czyta się to dziś, trudno oprzeć się wrażeniu, że stały się one jeszcze bardziej aktualne i bardziej powszechnie ludzkie w chwili obecnej; jest to najlepszym sprawdzianem wartości Keyserlinga. Obok tego największą rolę w powodzeniu „Dziennika“ odegrał moment, który jest najbardziej charakterystyczny także dla całej późniejszej twórczości Keyserlinga, a który tak świetnie ujął Valéry, mówiąc o pisarzach: „Nie cenię i nie mogę cenić innych pisarzy, jak tylko tych, którzy potrafią wyrazić to, co ja znalazłbym trudnym do wyrażenia, gdyby zagadnienie wyrażenia tego pojawiło się przede mną lub narzucało mi się“. Całe późniejsze promieniowanie

myśli Keyserlinga i ocena jej, oparły się właśnie na tym: potrafił on wyrazić to, co będąc przeczuwane przez wielu ludzi, nie potrafiło znaleźć sformułowania.

Przeprowadzona w tym samym roku reforma rolna w Estonii pozbawiła Keyserlinga całej fortuny rodzinnej bez jakiegokolwiek odszkodowania. Katastrofa ta wyzwala w nim całkowicie utajone dotąd zasoby energii i dynamizmu. Pracuje, pisze i wygłasza odczyty. W r. 1920 zakłada w Darmsztad'cie głośną ongiś „Szkołę mądrości"; zadaniem jej jest odnowienie życia w imię ducha. „Doktryna moja odnawia wszystkie problemy wychodząc nie od człowieka-abstrakcji, lecz od żywej duszy" — streszcza w jednym zdaniu istotę swego kierunku. Tak, jak wyobrażał to sobie Pascal, jak stwierdził to potem Max Scheler, tak i Keyserling poszedł po linii poznania emocjonalnego. Poznanie nie zawsze jest racjonalistycznym; poznajemy daleko więcej poprzez uczucie, aniżeli poprzez rozum i inteligencję. Każde uczucie może stanowić pomoc w poznaniu. Obiektywizm nie koniecznie jest wyższy od subiektywizmu gdy chodzi o rezultat w tym sensie, w jakim Życie jest doktryną.

Ukryty demonizm i siła dominują w każdej jego myśli. Czasem jest to igranie ze wszystkim, pełne uśmiechu mędrca, kpiarstwa Sokratesa: „Nie wydaje mi się, abym zbytnio przesadzał ujmując pokrótce w ten sposób koncepcję świata, jaką posiada olbrzymia większość naszych współczesnych: Bóg stworzył Wszechświat w powijakach. To wyjaśnia, iż ten najlepszy z światów stał się tym, czym jest i że wszystko szło na nim od lepszego ku gorszemu w miarę, jak postępowała ewolucja twórcza, zwana postępową. Dziś technika głośnika doszła do doskonałości. Nie ma więc żadnej przeszkody, by stworzyć doskonały świat w ciągu najwyżej pięciu lat — co w porównaniu z sześciu dniami Stwórcy jest rekordem szybkości: ponieważ wszystko przemawia za tym, iż dni Pana są dłuższe aniżeli lata ludzkie".

Keyserling prowokuje, a równocześnie uchyla się od dyskusji. Dyskutuj z samym sobą — nie ze mną; bo moją rolą jest jedynie budzenie myśli. Zresztą myśl albo trafia, albo nie trafia. Jeżeli trafiła, to dobrze; jeżeli nie trafiła, to wszelkie przekonywanie nie ma sensu. „Prawdziwy mędrzec — powiada on — nie dyskutuje, nie broni się. Mówi albo słucha, twierdzi lub stara się zgłębić określenia".

Równocześnie nie ma w jego wywodach cienia wielkości, tej głupiej, napuszonej zarozumiałości, która tak często wobec słusznych nawet spostrzeżeń i konkluzji budzi w czytelniku ducha przekory. Z każdego zdania przebija zupełna bezinteresowność, szczodrość słońca, szeroki gest „grand seigneur'a". Nie pragnąc nikogo przekonać, ogarnia w człowieku wszystko, albo nic. Nie można zachować wobec Keyserlinga jakiegoś półuczucia; albo nie chce się mieć z nim do czynienia w ogóle, albo wchłania się go, co pobudza do ruchu i zmusza przede wszystkim do samodzielnego myślenia. „Albo narkotyk, jakim jestem, działa, albo nie działa" — pisze dowcipnie w przedmowie do francuskiego wydania „Dziennika podróży".

Myśl jest dla Keyserlinga ciągłym stawaniem się i próba jakiejkolwiek krystalizacji, systemu, jest bezcelowa. Każda forma definitywna jest odpadkiem, który życie odrzuca na bok; może on być świadectwem przeszłości, stopniem wzwyż — nigdy zbiornikiem ducha i myśli. „Wiedzieć" nie jest celem; może być tylko środkiem do „Rozumieć". Abstrakcja jest zasadniczo zbrodnią i grzechem przeciwko duchowi, bo duch działa tylko wtedy, gdy staje się ciałem. Mól książkowy, „uczony" przemijają w mgnieniu oka i pozostają bez wpływu.

Między myśleniem a samogwałtem intelektualnym jest przepaść. Człowiek w każdym myśleniu musi być żywym. Filozofia nie jest nauką, lecz sztuką, a mądrość nie jest sumą wiadomości, lecz formą życia, zaletą duszy, bodźcem. Myśl należy przede wszystkim związać z życiem, które jest tylko jedno. Nie ma jednej Prawdy, istniejącej gdzieś poza naszym dotychczasowym zasięgiem; jest ona we wszystkim i ciągle staje się. Nie należy ślepnąć, lecz zdobywać bezustannie nowe spojrzenie, nowe perspektywy, by móc swobodnie obracać się w coraz to innych wymiarach życia. Najbliższym prawdy będzie raczej ten, kto będzie uważał ją za odległą i ciągle dążył do jej poznania.

Prawdy uznane, zaklasowane, posegregowane, nie są już prawie nigdy prawdami; życie je zawsze wyprzedza. To też zawsze najsłabsze przeczucie dalekiej jeszcze prawdy bywa aktualniejsze, aniżeli to, co w danej chwili za prawdę przyjęto i uznano.

Nasz postęp jest jednostronny, naszą jedyną ambicją jest zwycięstwo nad czasem. Ale grozi to „insektyfikacją“ człowieka, zamienieniem się człowieka w owada. Tak, jak to określił Bergson, zwierzę-człowiek i termit są końcowymi punktami dwóch zupełnie rozbieżnych linii ewolucji. Tymczasem zwierzę-człowiek jest w trakcie zbaczania ze swojej linii ewolucyjnej i coraz to większego przybliżania się do tego zmyślnego owada. Dla człowieka, który nie urodził się owadem, jest to równoznaczne z deformacją czysto patologiczną, pociągającą za sobą utratę wartości, dewitalizację i w końcu śmierć gatunku. To zbieganie się linii ewolucyjnej człowieka z linią termita odbywa się przede wszystkim na skutek zbyt wielkiej roli, jaką odgrywają w życiu człowieka „przedmiot“ i „uprzedmiotowanie“ wszystkiego. Oczywiście umiejętność bycia przedmiotowym i oddziaływania na otaczający świat za pomocą „rzeczy“ wyprodukowanej dzięki inteligencji jest cechą charakterystyczną zwierzęcia-człowieka i umiejętności tej zawdzięcza on swe dominujące stanowisko w całej naturze. Ale „przedmiot“ i „przedmiotowość“ nie mogą przekraczać ich normalnych atrybucji; musimy obniżyć ich wartość do wartości narzędzi, sprzętu którego to dziwne zwierzę, jakim jest człowiek, potrzebuje w swej walce o istnienie w takim samym stopniu, w jakim pająk potrzebuje swej pajęczyny. „Bo człowiek jest czymś więcej, aniżeli zwierzęciem; jest on całkowicie wehikułem Ducha“ mówi obrazowo Keyserling.

To co stanowi jedyność człowieka wśród wszelkich innych stworzeń, to także jego „otwartość na świat“ (Das weltoffene Tier M. Schelera). Tymczasem jak utrzymać swą otwartość na świat przy ciągłym wzroście szybkości. Człowiek zamyka się, specjalizuje, bo tego wymaga od niego coraz to szybsze tempo życia i coraz częstszy kontakt z precyzją techniki. Przypominamy coraz bardziej pchły. Żadna pchła nie skakałaby beztrosko, z precyzją, bez pomyłki co do punktu, w którym ma wylądować, gdyby skacząc, musiała się jeszcze poświęcać kulturze swego życia wewnętrznego. Tak — ale cofanie się i skargi pod adresem postępu nie przydadzą się na nic, bo postępu nie można i nie wolno zatrzymywać.

„Jeżeli chodzi o postęp, to problemem żywotnym, który zadecyduje na ostatnim miejscu, nie jest problem możliwie największego oddziaływania na świat zewnętrzny, lecz problem poznania, w jaki sposób tymczasowe nieprzystosowanie się ducha i duszy do możliwości zewnętrznych, nieprzystosowanie się, które grozi przemianą wszelkich korzyści zewnętrznych na stratę — mogłoby być zamienione na przystosowanie się“ — stwierdza Keyserling.

# Zamorskie tereny osiedleńcze polskie

(Dokończenie)

## 4. Brazylia

Brazylia stanowi drugie największe skupisko emigracyjne polskie, gdyż mieszka tam obecnie prawie 200.000 Polaków. Co do tej liczby statystyki wykazują duże wahania: np. Liga Morska i Kolonialna określała przed wojną liczbę Polaków w Brazylii na 265.000, lecz jest to cyfra stanowczo zbyt wysoka.

Terenem osiedlania się Polaków w Brazylii są głównie stany południowe: Parana, gdzie osiadło około 120.000 Polaków, Rio Grande do Sul i Santa Catherina. Nadto pewne ugrupowania Polaków znajdują się w Rio de Janeiro, Sâo Pâolo i Porto Allegro. W Paranie rolnicy polscy są na pierwszym miejscu wśród ludności.

Pod względem zawodowym największy procent, bo 90 — 95%, stanowią rolnicy, reszta to robotnicy, rzemieślnicy i kupcy, a poza tym około 1/2% inteligencji. Ta ostatnia grupa została dość silnie zasilona w latach 1939—40, kiedy do Brazylii przybyło kilka tysięcy uchodźców z objętej pożarem wojny Europy.

Przedwojenny ruch emigracyjny do Brazylii kierował się w głównej mierze do Parany. Wpływała na to z jednej strony polityka kolonizacyjna rządu brazylijskiego, a nadto dwie okoliczności sprzyjające naszemu osadnictwu rolnemu na tych terenach: łatwość osiedlania się w tych częściach bez posiadania znaczniejszych środków finansowych, a nadto prymitywne warunki tamtejsze, do których nadawał się i które wytrzymywał chłop polski lepiej, niż jakikolwiek inny (np. fatalne stosunki komunikacyjne i transportowe).

Pierwsi osadnicy polscy przybyli do Santa Catherina z Górnego Śląska w r. 1868. Pokrzywdzeni przy podziale działek rolniczych, Ślązacy ci, w liczbie 16 rodzin, postanowili przenieść się w okolicę Kurytyby, stolicy Parany. Na skutek starań wydzielono przybyszom po 2 i 1/2 ha ziemi na rodzinę w okolicy miasta. W ten sposób powstała pierwsza polska kolonia w Paranie pod nazwą Pilarzinho („Pielgrzymka"). W r. 1873 przybyło do Kurytyby dalszych 64 rodzin z Prus Zachodnich. Między latami 1875 a 1878 powstały dalsze polskie kolonie w sąsiedztwie stolicy parańskiej (w liczbie około 10), tworząc jednolity pierścień wokół Kurytyby, noszący oficjalną nazwę „Nova Polonia". U schyłku

---

Według niego to przystosowanie się możliwe jest jedynie przez poddanie „Rzeczy" wpływowi ducha, przez pogłębianie osobowości człowieka dzięki przeniesieniu akcentu z „zewnętrznego" na „wewnętrzne". Tylko ponowne przebudzenie się inicjatywy duchowej człowieka może uratować go od zamiany w owada, a więc od zagłady, ponieważ wszelki postęp na ziemi rodzi się z człowieka, który jest twórcą w absolutnym znaczeniu tego słowa, tak jak był nim Bóg, kiedy stworzył świat".

(Dokończenie nastąpi)

XIX wieku Parana stała się popularna w polskich kołach, zwłaszcza w Małopolsce oraz wśród ludności Łodzi i Warszawy. Z tego to okresu pochodzi nazwanie Parany „Nową Polską“, co było wynalazkiem „Gazety Handlowo-Geograficznej w r. 1895 (zresztą za przykładem wiedeńskiej „Kolonial-Zeitung“).

Należy zaznaczyć, iż lud polski w Paranie zachował do dziś jeszcze język ojczysty i przestrzega pieczołowicie obyczajów narodowych. W pierwszym okresie osiedlania się w Brazylii rząd tamtejszy popełnił szereg błędów, nie mogąc zapobiec „zatorom ludzkim“, jakie tworzyły się przy każdym masowym przypływie emigrantów. Ten stan naraził tamtejszy żywioł polski na liczne straty, gdyż na skutek niehigienicznych warunków poczęły się szerzyć wśród emigrantów epidemie i choroby. Opisy tego ciężkiego okresu początkowego, przeżywanego przez Polaków w Brazylii, dotarły do ówczesnej prasy polskiej i natchnęły między innymi Marię Konopnicką do napisania „Pana Balcera w Brazylii“, choć na ogół autorka była raczej zwolenniczką „idei parańskiej“.

Udział Polaków w Brazylii w życiu politycznym tego kraju zaczął zwiększać się z biegiem lat. Już w r. 1894 Polacy wystawili osobny pułk walczący po stronie „federacji“ pod wodzą Jana Kośmińskiego. W r. 1911 po raz pierwszy Polak Edmund S. Saporski, zwany „ojcem kolonizacji polskiej w Paranie“ został wybrany członkiem Kongresu.

Brazylijska polityka narodowościowa postawiła sobie za cel zapewnienie największych wpływów w kraju dla Brazylijczyków. To też od początku ruchliwości politycznej Polaków tamtejsze czynniki zaalarmowane zostały głosami o możliwościach odpadnięcia tych stanów od Brazylii i wytworzenia z nich samodzielnych politycznie organizmów, przy czym Paranę mieliby opanować Polacy, St. Catherina — Niemcy, a Rio Grande do Sul — Włosi. Brazylijczycy starali się oczywiście zapobiec tym ewentualnościom, posługując się przede wszystkim szkołą, a potem możliwie największą atomizacją nowych przybyszów.

Zagadnienie, czy i do jakiego stopnia Parana względnie cała Brazylia przedstawiają teren odpowiedni do kolonizacji, było przed obecną wojną nieraz przedmiotem dyskusyj i polemik. Obok przesadnych zachwytów, przedstawiających ten kraj, jako prawdziwy „raj“, odzywały się zdania przeciwne. Na ogół jednak można powiedzieć, iż opinia ogólna uważała Brazylię za zasługującą na poważne traktowanie odnośnie osadnictwa polskiego. W ciągu dwudziestolecia niepodległości 1919 — 1939 opublikowanych zostało kilka poważnych prac na temat możliwości emigracyjnych do Brazylii i Parany. Wykazywały one, że Parana jest krajem najrzadziej zaludnionym w Brazylii i posiada bardzo dużą chłonność rolniczą. Dużymi plusami, na które zwracano uwagę w tych wydawnictwach, były m. in.:

1) taniość ziemi,

2) łatwość przystosowania się polskiego materiału osadniczego do warunków parańskich,

3) głód ludzki i duże obszary wolne,

4) olbrzymie niewykorzystane bogactwa naturalne (owoce, zwierzęta),

5) przychylność Brazylijczyków do Polaków — większa, niż do innych narodów.

Dr Gustaw Załęcki w swej pracy „Polska polityka kolonialna i kolonizacyjna“, wydanej w roku 1925, pisał już: „Naszą ekspansję kolonizacyjno-rolną



Leon Wyczółkowski.



Apoloniusz Kędzierski.

powinniśmy zacząć od Parany, gdyż tam historia położyła już pod nią najważniejsze zręby. Gdybyśmy do tego kraju zdołali wprowadzić odrazu świeżych 60—70.000 rodzin polskich rolniczych, wówczas liczyć by można było na pełne kulturalne jego zdobycie, przyczem przypomnę, że szeroka autonomia Stanu parańskiego, który jest wszakżesz osobnym państwem Związku brazylijskiego, zapewniałaby nam odrazu możność pełnego politycznego życia i to nawet bez secesji z Federacji brazylijskiej".

„Informator Morski i Kolonialny", wydany w Warszawie przed ostatnią wojną, podawał jako najważniejsze przedsiębiorstwa osadnicze w Brazylii następujące:

1) kolonizację rządową (Marquez de Abrantes),

2) parańską spółkę kolonizacyjną, składającą się z Polaków — jej dziełem jest założenie w roku 1932 kolonii „Nowa Wola" w środkowo-północnej części Parany,

3) angielskie towarzystwo „Parana Plantations" w okolicy miasta Londrina (mały Londyn) — teren zarezerwowany dla Polaków nosi nazwę „Polany" i posiada dobrą glebę t. zw.: terra roxa, ziemia czerwona,

4) towarzystwo A. Bobra (w roku 1934 uzyskało ono zezwolenie na zwerbowanie 200 rodzin w Polsce),

5) kolonizację Ligi Morskiej i Kolonialnej między Apucarana i Candido de Abreu,

6) kolonizację na obszarach w pobliżu Kurytyby t. zw. „kolonie stare".

Powyższy informator wskazywał na duże trudności początkowe emigrantów w Paranie. Na koszta urządzenia najwięcej przed obecną wojną wymagała administracja Polany, potem „Nowa Wola", najmniej zaś, bo ani grosza, kolonizacja rządowa w Marquez de Abrantes. Chcąc jechać na rolę do Parany, rodzina rolnicza musiała rozporządzać przed wojną kapitałem 2 — 4 tysięcy złotych, zależnie od liczby członków rodziny i kolonii, na której się osiedlano. Znajomość języka portugalskiego ułatwiała wiele, lecz wystarczało porozumienie się w angielskim, hiszpańskim lvb francuskim.

Co do obecnych możliwości emigracyjnych do Brazylii, to nadal wielkie możliwości przedstawia tu rolnictwo oraz warzywnictwo. Najlepsze i najszybsze zarobki daje przemysł i handel. Największe widoki powodzenia, ze względu na brak konkurencji, posiadają tam takie zawody jak meblarstwo, drukarstwo, włókiennictwo, farmaceutyka, optyka i chemia. Technicy są zawsze wszędzie poszukiwani, najgorzej zaś jest z zawodami akademickimi, dla wykonywania których wymagana jest uprzednia naturalizacja.

Ze względu na obowiązujące przepisy emigracyjne, spośród których wymienić należy dekrety z maja 1934, z sierpnia 1938 i z lutego 1940, o masowym wyjeździe do Brazylii nie może dziś być mowy. Na ogół bez wezwania nie można wyjeżdżać do Brazylii. Z góry wyłączone są osoby starsze (ponad 60 lat), chorzy na zaraźliwe choroby np. jaglicę itd. Pragnący trudnić się handlem lub przemysłem muszą wykazać się posiadaniem środków na utrzymanie w pewnym okresie początkowym oraz gwarancją osób przebywających już w Brazylii co do utrzymania i przyzwoitego prowadzenia się.

## 5. Argentyna, Urugwaj i Paragwaj

W ciągu dwudziestolecia niepodległości do roku 1939 emigracja nasza skierowywała się po większej części do Argentyny, Urugwaju i Paragwaju, to też trzy te państwa można rozpatrywać łącznie, co ułatwia jeszcze fakt, iż posiadają one podobną strukturę (choć bynajmniej nie taką samą) oraz warunki osadnicze.

Ilość Polaków w tych trzech krajach obliczana była przed wojną łącznie na 50.000 osób. Z cyfry tej połowa przypada na Argentynę (25.000), a po jednej czwartej na Urugwaj i Paragwaj. W składzie zawodowym na czoło wybijają się rolnicy, zarówno osadnicy jak i robotnicy rolni, poza tym Polacy są pracownikami przy budowie kolei, rzemieślnikami i mechanikami. Znaczny odsetek emigracji z Polski do tych krajów stanowili przed ostatnią wojną Żydzi, posiadający tam własne organizacje, oparte na międzynarodowym kapitale.

Jeśli chodzi o porównanie Argentyny z Brazylią, to oba te kraje różnią się między sobą znacznie. O ile Brazylia, zwłaszcza w swej północnej i środkowej części, jest kawałkiem Afryki na lądzie amerykańskim, to Argentyna stanowi jakby żywcem przeniesioną do Ameryki część Europy. Argentyna posiada klimat umiarkowany, w Patagonii i centralnych prowincjach kraju nie ma już kawy ani trzciny cukrowej (jak w Brazylii), lecz rośnie pszenica, len i inne rośliny europejskie. W Argentynie nie rzadko trafiają się mrozy, trzeba palić w piecu i nosić palto. Również porównanie stolic obu tych krajów jest bardzo wymowne. Rio de Janeiro, stolica Brazylii, nie jest miastem dużym, tymczasem Buenos Aires — to prawdziwa metropolia, nazywana zresztą stolicą Ameryki Południowej. Poza Brazylią i Argentyną inne kraje Ameryki Południowej przypominają swymi warunkami (lecz nie klimatem) pod wieloma względami Europę wschodnią.

Ruch wychodźczy z Polski do Argentyny rozpoczął się stosunkowo późno, gdyż około roku 1890, przy czym nigdy nie przybrał on rozmiarów tak dużych, jak do sąsiedniej Brazylii. Pierwsze polskie osady, będące zarazem do dziś największymi, powstały w prowincji Missiones, leżącej w północnej Argentynie w sąsiedztwie brazylijskiego stanu Parana. Poza tym rozproszeni są Polacy w różnych okolicach Argentyny, przeważnie w prowincjach Santa Fe, Cordoba i Entre Rios. W Urugwaju i Paragwaju rozrzucenie jest również znaczne.

Na ogół polscy rolnicy w Argentynie znajdowali się w mniej korzystnym położeniu niż Polacy w Paranie. Zaważyła przede wszystkim na tym okoliczność, że ogromną większość wśród emigrantów z Europy tworzą tu Włosi oraz Hiszpanie. Przedstawiciele tych dwóch narodów przyciągani są do Argentyny z jednej strony łatwością przystosowania się do klimatu, z drugiej zaś względami językowymi (hiszpański) oraz niedużą odległością. Nic zatem dziwnego, że mieli oni stale lepsze warunki w Argentynie i mogli lepiej się zorganizować, na skutek czego stanowią silną konkurencję dla Polaków.

Początkowo nasza emigracja rolnicza do Argentyny miała charakter wybitnie sezonowy i zarobkowy, o czym świadczą cyfry dotyczące reemigracji. Po dorobieniu się pewnej gotówki rolnik polski nie wracał najczęściej do kraju. W Buenos Aires i Rosario rząd argentyński utrzymywał dla emigrantów olbrzymie schroniska, połączone z bezpłatnymi „oficinas de trabajo" (biuro pracy). Z czasem lepiej, niż roboty rolne, zaczęły opłacać się prace przy re-

gulacji rzek, budowie kolei, prace melioracyjne i t. d., dlatego też liczba Polaków w tych zawodach stale wykazywała zwyżkę.

Jako kraj rolniczo-pasterski, Argentyna, podobnie jak Brazylia, potrzebuje ludzi do osadnictwa. Tym się tłumaczy, że przepisy dotyczące wjazdu do tego kraju były od dawna stosunkowo liberalne. Z upływem czasu jednak, mimo iż słaby ilościowo prąd emigracyjny z Polski nie mógł wytworzyć obaw, Argentyńczycy skierowali uwagę i na Polaków, łącząc ich z problemem Parany. Przyczynił się do tego bez wątpienia i konflikt z Włochami, w stosunku do których uczucia nacjonalistyczne Argentyńczyków zostały na dobre rozbudzone.

W Argentynie specjalnie udaje się uprawa pszenicy, kukurydzy, owsa, jęczmienia. Z bydła hoduje się owce, konie, bydło rogate i kozy. Liczne bogactwa kopalniane, jak złoto, srebro, miedź, nafta, węgiel i żelazo są słabo wyzyskane. Co do Paragwaju, który jest również krajem rolniczym, uprawia się tam tytoń, trzcinę, bawełnę, specjalnie zaś jest tam rozwinięta produkcja herbaty paragwajskiej t. zw. yerba mate oraz quebracho. Przemysł nie jest rozwinięty w dostateczny sposób, podobnie zresztą jak w Urugwaju, gdzie ogranicza się on do fabryk konserw, rzeźni, oraz młynów. Warto podkreślić, że północna Argentyna oraz Parana są ważnym kluczem do olbrzymiego pasa ziemi, biegnącego przez Paragwaj, Boliwię i Peru do Pacyfiku, nadającego się specjalnie do kolonizacji przez Polaków. Jest to zarazem — jak wykazywali teoretycy — najmniejsza i najsłabsza linia oporu dla tych w Brazylii i Argentynie, którzy będą mogli zmobilizować swe rezerwy ludzkie i finansowe.

Ujemną stroną, przemawiajacą przeciw kolonizacji tych krajów, jest drożyzna tamtejszej ziemi.

Według powszechnej opinii Paragwaj wśród krajów południowo-amerykańskich zajmuje najniższy szczebel cywilizacyjny. Ponadto zaś klimatycznie nie nadaje się do osiedlania się tam białych, ponieważ jest to kraj nizinny, wilgotny i tropikalny.

Przed ostatnią wojną do Argentyny, Urugwaju i Paragwaju mogły przede wszystkim wyjeżdżać te osoby, które posiadały „permiso de desambarco“ t. j. imienne wezwania. Zawodowi rolnicy mogli otrzymywać wizy bez wezwania, o ile posiadali pewien kapitał. Według wiadomości z Argentyny utworzony tam został obecnie „Komitet kooperacji z Europą“, który za cel postawił sobie zainteresować naród amerykański potrzebami i panującą biedą w Europie. Komitet ten korzysta z poparcia kół rządowych argentynskich i czyni starania o osiedlenie w Argentynie pewnej ilości uchodźców europejskich.

Podobno rząd argentyński nosi się z zamiarem zorganizowania masowej emigracji do tego kraju, przy czym element polski ma być mile widziany. Chodzi o skolonizowanie centralnej Argentyny i Patagonii. Znajomość języka hiszpańskiego jest na ogół wszędzie konieczna.

## 6. Australia i Afryka Południowa

Te dwie kolonie możemy rozpatrywać razem, gdyż jako dwa dominia brytyjskie podlegają one podobnym „prawom“, a nadto stoją oba ze względu na szczupłą stosunkowo liczbę Polaków na szarym końcu naszych zamorskich terenów emigracyjnych.

W Australii liczba Polaków podawana była przed ostatnią wojną na 1.000 osób, w Afryce Południowej było ich do niedawna jeszcze mniej. Oba te

kraje uznać musimy za należące do państw nęcących obszarem i posiadających zdolność pomieszczenia milionowych rzesz osadniczych.

Pierwszy z nich, AUSTRALIA, jest powszechnie określany w literaturze fachowej jako „continent inachevé“, niedokończony kontynent. Rzeczywiście, na obszarze 16 razy większym niż Francja mieszka dziś ludność mniejsza liczbowo od maleńkiej Belgii. Jedna z prowincyj Quensland, która jest 4 razy większa od Francji, ma jedynie 800.000 mieszkańców. Tubylców w całej Australii mieszka tylko 50.000. Przeciętnie na 1 $km^2$ w Australii wypada zaledwie jeden człowiek.

Możliwości gospodarcze tego kraju są olbrzymie. Podstawą gospodarstwa australijskiego jest hodowla owiec. Rolnictwo, choć zajmuje tylko część tego olbrzymiego terytorium, odgrywa rolę bardzo ważną. Jest ono prowadzone raczej ekstenzywnie, a nie intenzywnie, poza tym klimat wpływa na jego charakter spekulatywny. W czasie ostatniej wojny Australia uległa poważnemu przeobrażeniu, które sygnalizuje autor niedawno opublikowanej w Anglii książki p. t. „Pacific Partner“ (H. Johnson): kraj ten dziś coraz więcej przekształca się z kraju rolniczego na przemysłowy. W przemyśle wojennym, który w roku 1939 był jeszcze w powijakach i liczył dosłownie 4 fabryki broni, dzisiaj pracują setki fabryk różnego rodzaju, zatrudniających 600.000 robotników. Specjalnie rozwinął się podczas ostatniej wojny przemysł samochodowy oraz okrętowy (stocznie).

Warunki pracy istnieją dla Polaków właściwie w całym kraju, z wyjątkiem tropikalnej północy. Trzeba jednak z góry powiedzieć, że Australijczyk widzi w każdym Europejczyku niepożądaną konkurencję. Polacy nie są szczególnie przyzwyczajeni do istniejącego w Australi systemu eksploatacji ziemi t. zw. „share system“, według którego wydzierżawiający płaci grunt oraz wszelkie urządzenia, a dzierżawca daje bydło — zaś zyskiem potem obaj się dzielą.

Największe zapotrzebowanie w Australii istnieje obecnie na specjalistów przemysłowych, lecz przepisy emigracyjne (np. ustawa z 1925 t. zw. „Immigration Act“) są bardzo ostre. Wjazd do Australii był już przed wojną oparty na ścisłym kontyngentowaniu. Gubernator generalny mógł każdej chwili zakazać, całkowicie lub częściowo, wjazdu emigrantów, o ile uznał, że wymaga tego położenie kraju lub że osoby przybywające nie będą „łatwe“ do zasymilowania czy też nie mogą „wziąć na siebie odpowiedzialności obywateli australijskich“ (Por. Réglamentation des migrations, BIT, Etudes et documents, 1928). Pozwolenie na lądowanie, t. zw. landing permit, jest dziś prawie nie do otrzymania, mimo posiadania wystarczającej ilości pieniędzy.

Co do AFRYKI POŁUDNIOWEJ, to swym położeniem odpowiada ona na półkuli północnej Algerowi ze względu na duże podobieństwo klimatów. Gospodarczo największe znaczenie posiada środkowa część kraju, zwłaszcza tereny Transvaalu.

Dla przeciętnego Anglika Afryka Południowa jest niczym innym, jak synonimem złota. Kraj ten, dzięki swym bogactwom naturalnym, które przynoszą mu duże zyski finansowe, oraz dzięki swemu położeniu geopolitycznemu, wzrasta coraz bardziej na sile, świadomy swego rozwoju na przyszłość. Rolę zasadniczą w gospodarce Związku Południowo-Afrykańskiego odgrywa górnictwo, przynoszące w latach przedkryzysowych ponad 50 milonów funtów dochodu rocznie, dalej idzie rolnictwo z 13 milionami funtów rocznie. Wydobycie złota równało się $^1/_3$ produkcji światowej przed Rosją i Kanadą. Dawny prze-



**Stanisław Czajkowski.**



Aleksander Gierymski.

mysł diamentowy w Kimberley dziś już prawie zupełnie zaniknął i nie ma widoków, by mógł wrócić do czasów swej dawnej świetności. Poza tym wydobywa się w Afryce Połudn. węgiel (12 mil. ton rocznie), cynk, miedź i żelazo.

Politycznie Afryka Połudn. jest młodym tworem państwowym, który istnieje zaledwie 35 lat. W roku 1921 przyznano krajowi temu status dominium. Pod względem narodowości Afryka Południowa jest terenem dużych walk rasowych, które z roku na rok przybierają na sile: licząc około 11 milionów ludności, kraj ten posiada jedynie 2 miliony białych, czyli zaledwo 20%. Murzynów jest tu 70% w stosunku do całej liczby ludności, Azjatów — 2%, a mieszańców — 8%. Jeśli do tej olbrzymiej masy kolorowej dodamy dawny rozłam wśród białych na „boerów“ (Holendrów) oraz „uitlanderów“ (Ausländer-Anglicy), da nam to obraz tarć na tle narodowościowym.

W stosunku do emigrantów z zewnątrz wprowadzono w Afryce Południowej od dawna szereg ostrych restrykcyj. Wjazd regulują dziś dwa akty prawne: 1) Immigrants Regulation Act No 22 z 1913 oraz 2) Aliens Act z 1937 roku.

Pierwszy stwierdza, że tylko obywatele brytyjscy nie potrzebują pozwolenia na wjazd. Co do nich jednak istnieje to ograniczenie, iż ci co nabyli obywatelstwo brytyjskie w inny sposób niż urodzenie, np. przez naturalizację, uważani są z punktu widzenia przepisów emigracyjnych za obcokrajowców. Aliens Act stwierdza, że cudzoziemcom udziela pozwoleń na wjazd ministerstwo spraw wewnętrznych w Pretorii (Secretary for the Interior), przez najbliższego przedstawiciela rządu Związku Afryki Południowej lub konsula brytyjskiego. Wjeżdżający do tego kraju muszą udowodnić znajomość w słowie i w piśmie jednego z języków europejskich, posiadanie pewnej sumy pieniężnej (wysokość nie jest określona, lecz jest powiedziane, iż winna ona wystarczyć dla emigranta „to maintain himself for a reasonable period after arrival“), nieposzlakowaną przeszłość i brak chorób, a nadto wykazać się ważnym paszportem (possession of valid passport).

### 7. Uwagi końcowe

O łączności, jaka istnieje między ośrodkami emigracji a ojczyzną mówi słusznie przysłowie angielskie: „blood is thicker than water“ to znaczy więzy krwi przezwyciężają nawet oceany. Dowodem słuszności tego powiedzenia były bez wątpienia nasze polskie ośrodki emigracyjne za morzem, które w ciężkich dla kraju chwilach dały niejeden wyraz przywiązania oraz zrozumienia sytuacji w Polsce. Ta łączność między emigracją a krajem udowadnia dziś jasno każdemu, że aspiracje narodowe niekoniecznie muszą się wyczerpywać w jednej formie organizacyjnej t. j. jednolitym państwie, ale sięgać mogą i dalej. Jak duże znaczenie mają ośrodki wychodźcze dla kraju pokazała właśnie ostatnia wonja.

Nie wiadomo, czy obecny okres powojenny otworzy nam znów nasze polskie tereny osiedleńcze za oceanem, jedno jest pewne, iż możliwości tam istniejące są niemałe. Z krótkiego tego przeglądu wynika, iż najlepiej widziani są wszędzie wśród emigrantów w pierwszym rzędzie rolnicy i robotnicy rolni, najgorzej zaś sprawa przedstawia się z zawodami akademickimi. Z przeglądu tego musimy wyciągnąć i ten wniosek, iż dotychczasowy brak racjonalnej i jakościowej polityki emigracyjnej trzeba będzie w przyszłości naprawić. Tego domaga się zarówno dobro naszego kraju, jak i przyszłość naszych polskich ośrodków emigracyjnych za granicą.

*Dr Alfons Bronarski* (Szwajcaria)

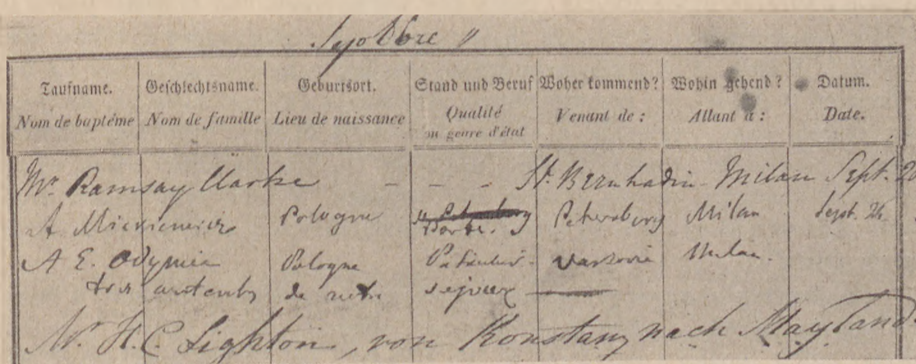
# Na Alpach w Splügen

**Przyczynek do historii pobytu A. Mickiewicza w Szwajcarii**

Przeszedłszy malowniczą przełęcz San Bernardino, prowadzącą z Tesynu do kantonu Graubünden, znalazłem się w Hinterrhein, w pobliżu źródeł tylnego Renu, skąd następnie udałem się wygodnym gościńcem, środkiem długiej doliny, do Splügen. Miejscowość ta, dzisiaj mało stosunkowo odwiedzana, sprawia smutne wrażenie zdegradowanej wielkości. Istotnie cała ta okolica, obfitująca w tyle piękności, niewątpliwie przeżyła *sui generis* dramat. Niegdyś była to główna arteria, przez którą szedł cały ruch turystyczny z jednej strony przez przełęcz San Bernardino do włoskiej Szwajcarii, z drugiej do Chiavenny po włoskiej stronie, przez przełęcz Splügen, o 650 metrów wyżej położoną, do której prowadzą serpentyny szerokiego gościńca. Znaczenie tych dwóch sławnych przełęczy upadło z chwilą przebicia tunelu św. Gotharda i dzisiaj należą one raczej do „zabytków przeszłości" komunikacyjnych dróg alpejskich. Dramat, o którym wspomniałem, miał nawet znaleźć tragiczne rozwiązanie w zamierzonym niedawno zatopieniu części doliny przez stworzenie sztucznego jeziora dla celów technicznych, przy czym samo Splügen znikłoby z powierzchni ziemi. Na szczęście protest ludności i miłośników krajobrazu górskiego temu przeszkodził.

Miasteczko czy wieś Splügen leży u stóp dzikiego Kalkbergu, obok którego trzecia z rzędu przełęcz prowadzi do opuszczonego Safientalu, jednej ze 150 dolin, które liczy kanton Graubünden. Splügen składa się z niewielu budynków skupionych dokoła starego kościoła. Domy i kościół, oraz ruiny zamku świadczą swym wyglądem o pewnym zastoju w historii tej miejscowości. Trudno by nawet odnieść do niej słowa poety „wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło". Zdaje się, że tak jak dzisiaj wyglądał Splügen od wieków, a w każdym razie przed stu laty, kiedy bawił tu Mickiewicz z Odyńcem. Wspomnienie pobytu Mickiewicza w tych stronach, zaświadczone znanym jego wierszem „Na Alpach w Splügen", nasuwa prawdopodobną myśl, że istnieje jeszcze hotel, w którym mieszkali obaj poeci polscy. Pokaźniejszych hoteli w Splügen jest w ogóle trzy. Po krótkim zastanowieniu dochodzę do przekonania, że gospodą, która gościła największego poetę polskiego, musiał być stojący przy głównym placu Hotel Post Bodenhaus. W okresie, kiedy Mickiewicz podróżował, komunikacje były pocztowe, więc hotel ten prawdopodobnie był stacją pocztową. Nie omyliłem się. Zgłosiwszy się do biura dyrektora hotelu wyjaśniam mu cel mojego przybycia. Radbym przejrzeć księgi archiwalne sprzed ... stu laty. W odpowiedzi na to uprzejmy dyrektor, p. E. Bont, otwiera kasę ogniotrwałą, z której wydobywa grubą księgę, mówiąc, że jest jedyna, jaka zachowała się z dawnych czasów. Z przyjemnością stwierdzam, że obejmuje ona właśnie lata, o które mi chodzi: maj 1828—lipiec 1844. Po

niedługim szukaniu znajduję na stronie 17-tej własnoręczne podpisy Adama Mickiewicza i Antoniego Edwarda Odyńca (p. repr. fotograficzna w tekście). Pierwszy Mickiewicz umieścił swoje nazwisko wraz z inicjałem imienia, po czym pomyliwszy się wpisał w rubrykę odnoszącą się do stanu cywilnego słowo *St. Petersburg*, jako miejsce, z którego przybył. Spostrzegłszy swoją pomyłkę, przekreślił te słowa, wpisując następnie *Petersburg* tam, gdzie należało i zamiast przekreślonych słów dopisał *Poète*. Odyniec, zapisawszy swoje nazwisko i inicjały obydwu swych imion, podał jako godność *Particulier*, a jako miejsce, skąd przyjechał, *Varsovie*. Obaj poeci wpisali *Milan* jako najbliższy cel podróży. Pod tymi szczegółami ręką Odyńca dopisana uwaga z pochwałą pod adresem właściciela hotelu: *Très contents de notre séjour*. Wszystko się zgadza. Własnoręcznie Mickiewicz wpisał jako dzień przyjazdu *Sept. 26*, i jest to istotnie data, którą znamy z jego biografii[1]).




Fot. R. Guler, Thusis

Uradowany odkryciem czuję ogarniające mnie wzruszenie. Wszak ta ręka, która wpisała nazwisko stanowiące dziś chlubę Polski, na krótko przedtem przelała na karty manuskryptu „Konrada Wallenroda", ściskała dłoń Goethego w Weimarze, tu zaś a raczej nieco później nakreśliła słowa pamiętnego wiersza „Na Alpach w Splügen". Poeta przyjechał tu po dwutygodniowym pobycie w Weimarze z okazji osiemdziesięciolecia autora Fausta, podejmowany według świadectwa jego synowej tak serdecznie i przyjacielsko jak żaden cudzoziemiec. Droga powiodła go do Bonn, gdzie spotkał się z A. W. Schleglem, głową niemieckiej szkoły romantycznej. Jak dalej przedstawiała się podróż? Mickiewicz pozostawił nam tylko luźne zapiski, ale towarzysz jego, Odyniec, był dokładniejszy. Z wydanych w r. 1875 Listów z podróży, tom drugi[2]), dowiadujemy się, że wjazd do Szwajcarii odbył się przez Szafuzę, dokąd podróżni przybyli ze Strasburga. W liście datowanym stamtąd 18 września 1829 r. tak witał Odyniec Szwajcarię:

---

[1]) Drobna rozbieżność w datach podanych przez Mickiewicza i Odyńca (p. niżej) tłumaczy się pomyłką jednego z nich, o którą w podróży szczególnie łatwo.

[2]) A. E. Odyniec, Listy z podróży (Z Warszawy do Rzymu). Dwa tomy. Warszawa, 1875.

Ziemio Helwetów,
Maro poetów,
Kraju gór, jezior i serów!
Gdzie mgłą po górach,
Jak duchy w chmurach,
Mkną wspomnienia bohaterów.

Gdzie przez wąwozy,
Gemzy, *vel* kozy,
W powietrzu skaczą nad niemi;
A po dąbrowach,
Dzwonki na krowach
*Karillonują* na ziemi.

Gdzie *Gidy* gwałtem,
Tym lub tym kształtem,
Frymarczą wdzięki natury;
A zaś w oberży,
Wirth, co ją dzierży,
Gości obdziera ze skóry!

„Adam — pisze dalej Odyniec — w Strasburgu kupił znowu sam sobie papieru i aż trzy różne ołówki, które mu widać kupiec na żądanie jego z obu końców potemperował. Mówi, że to jest zapas na zdejmowanie widoków szwajcarskich“. Widok Alp takie wzbudza w Odyńcu refleksje: „Ale cóż Ci mam powiedzieć o Alpach? — zapytuje swego przyjaciela Juliana Korsaka. Za pierwszym rzutem oka, wyglądają z daleka jak masy białych obłoków, oświecone słońcem — chociaż słońca właśnie nie było. — Jest to jakby blask własnej wielkości, choć jej chwała jeszcze nie wieńczy. W tem było widać, źródło uroku Adama, który już wywierał na ludzi, nim się stał sławnym, drukowanym poetą“.

Po obejrzeniu „zewsząd“ wodospadu Renu i „miasteczka“ Szafuzy, o którym „nie ma co mówić“, gdzie podróżni nasi słyszeli jednak dzwon, „ten sam, którego odlew Szyller celebrował w *Die Glocke*“, puścili się obaj poeci, wraz ze spotkanymi przypadkowo dwoma braćmi Radolińskimi, do Winterthuru i Zurychu. Do tego ostatniego miasta przyjechali w niedzielę, więc — pisze Odyniec: „Idę szukać choćby jakiej kapliczki, gdzieby się przecież w tej stolicy Zwingla można było po naszemu pomodlić“. Że humor musiał być dobry, wynika z następującego wiersza, ułożonego przez Odyńca:

Cóż ci powiem o Zurichu,
Który tu załączam w sztychu?
Dachy spiczaste u strychu,
Sterczą, jak kaptur na mnichu.
Stolica fabryk drelichu,
Bławatów, haftów i szychu.
Mimo to, zbytku, przepychu,
Karet tu nawet ni słychu.
Cisza jak w bramach Jerychu,
Nim je dźwięk trąb, bez witrychu,
Otwarł zbudzonemu lichu.
Jezioro tylko pocichu
Szumi, jak szampan w kielichu —
No! czyż *jamb* nie wart uśmiechu?

I chlubi się poeta, że już więcej rymów na „ichu“ nie ma, ani w Lindem, ani w Trotzu.

Ale miasto nie podobało się na ogół naszym podróżnym. Żałuje tylko Odyniec, że nie miał dość czasu pójść na chwilę na grób Lavatera, „dla którego oddawna mam wielką cześć i uwielbienie“. Nie mogąc udać się na cmentarz, „w myśli tylko nad nim — pisze — zdaleka wieczne odpocznienie zmówiłem“. Płynąc po jeziorze, którego zielony kolor zachwycił obu poetów, „połowę czasu żeglugi zajęła nam deklamacja rozmaitych wierszy. Nie wie-

działem, że Adam umie ich tyle na pamięć. „W drodze do Chur znaleźli się obaj turyści w „Rapperschwyl“, „ze starymi kościołami i *burgiem*, leży na cyplu zachodzącym na jezioro, skąd widok śliczny, prześliczny. Adam rysował go, siedząc na ziemi, a chwaląc się, że to będzie *chef-d'œuvre* jego ołówka...“ Czy przeczuł wielki poeta, że rysował przyszły „polski zamek“?

Z Chur wjechali podróżni w głęboki świat alpejski. Była to najpiękniejsza część wycieczki szwajcarskiej: „to, co widzieliśmy dzisiaj, jest właśnie koroną jej (Szwajcarii) wrażeń“, czytamy w liście do J. Korsaka, datowanym już ze Splügen, 24 września 1829 r. w nocy. O nastroju, w jakim przybyli tamże, świadczy wiersz umieszczony na początku listu:

Już, już nie będę wierszy składał, mamuleńku!
Piszczał biedny Nazonik[1]), wijąc się na pieńku;
I pewno drugie tyle wziął nieborak w skórę,
Że i to mówiąc popadł w *miarę* i *cezurę*.

Tak i ja, choćbym przysiągł, na żadne tu dziwo
Nie wpadać już w extazę *in superlativo*,

(Bo wciąż, co mi najwyższem zdawało się wczora,
Z każdem *dzisiaj* przechodzi *ad inferiora*);
Toć przecie com dziś widział, bez obawy jutra,
Nie mogę nie powiedzieć, że jest *non plus ultra*.

Nic dziwnego! Wszak dnia tego przebyli podróżni klasycznie piękną Via Mala, o której tak się Odyniec wyraża: „Żeby nic więcej w Szwajcarii nie widzieć, to już dlatego samego wartoby tu choć z zamorza przyjechać. Wyobraź tylko sobie!... Ale napróżno będziesz wyobrażał; kiedy ja, co to dziś jeszcze własnymi oczyma widziałem, nadaremnie usiłuję w tej chwili, sam sobie to, co widziałem, w porządny jakiś obraz ułożyć“.

Nie obeszło się i bez dramatycznych przygód. Oto co czytamy dalej: „Idąc pieszo nad tym rozdołem, bawiliśmy się sobie po studencku, rzucaniem weń lub spychaniem znajdowanych obok drogi kamieni, których szelest spadania długo słychać było i które bardzo pięknie skakały. Adamowi zachciało się koniecznie widzieć, jak się wyraził, „skoki olbrzyma“, i upatrzywszy nad brzegiem ogromny kamień nawpół wrosły do ziemi, postanowił wyrwać go z miejsca i zepchnąć do Renu. Za pomocą więc okutych żelazem kijów, jakie mają wszyscy podróżni, a w które zaopatrzyliśmy się w Chur, — zaczęliśmy go podkopywać i podważać z boków... a gdy już kamień był wpół podkopany, Adam kazał mi go podważać kijem, a sam zaczął uderzać nogą. Jednym razem nad spodziewanie nasze kamień runął nagle, a Adam, który go właśnie nadeptywał, zachwiał się i upadł — rozumiałem, że razem z nim w przepaść. Szczęściem spadzistość nie była zbyt stroma, a on padając chwycił się oburącz za drzewo; inaczej śmierć lub kalectwo mogłyby być nieochybne. Zawsze jednak tak to nas przeraziło, że ja przynajmniej nie byłem już w stanie iść dalej, z powodu jakiejś dziwnej mdłości w nogach i w całym ciele, która mnie ogarnęła z przestrachu“.

---

[1]) Owidiusz Nazo.

Z listu Odyńca dowiadujemy się w dalszym ciągu szeregu szczegółów specjalnie ważnych, bo bez wątpienia stanowią one komentarz do tego, co z wycieczki tej pozostało trwałą pamiątką, mianowicie do genezy wiersza „Na Alpach w Splügen". Odyniec ani słowem nie wspomniał o takim wierszu, a jednak to co pisze nie może do niczego innego się odnosić jak tylko do niego. Jak się to stało, że właśnie na zawrotnych przełęczach alpejskich tak niepodobnych do krajobrazów polskich zwróciła się myśl Mickiewicza do kraju rodzinnego i powstał utwór zawierający bolesne pożegnanie z dawną kochanką Marylą? Odpowiedź na to znajdziemy w następującym ustępie wspomnianego listu Odyńca: „Na popasie w *Andeer*[1]), znaleźliśmy prześliczną czteroletnią dziewczynkę, córkę gospodarza oberży, która po zabawie z moim zegarkiem, tak jakoś przywiązała się do mnie, że nie chciała zejść z moich kolan, całując mię i gładząc rączkami. Adam z dziwną czułością patrzał na to z boku, co mu się nie często przydarza. Przypomniał Olcię i Kamcię, córeczki państwa Kowalskich w Kownie, które mu zawsze mówiły, że *dwóch* tylko kochają, to jest jego i *Bauzera* (buldoga). Ztąd poszła rozmowa o dzieciach. Ty wiesz, jak ja je lubię, ale zawsze tylko dziewczynki. Adam podziela mój gust co do dziewczynek, choć w ogólności zgadza się z tym jakimś panem, który mówił, że dzieci najmilsze są wtedy, kiedy płaczą, to jest gdy je wynoszą. „A cóż będzie z twojemi, jeśli ci je kiedy da Pan Bóg"? zapytałem. Zaśmiał się i odpowiedział: że z dziećmi jest jak z wierszami; najtrudniej myć je i czesać, tak jak wiersze — nie pisać, ale poprawiać. Dodał jednakże na seryo: że jeśli o czem, to o swoich uczuciach nikt naprzód z wyobraźni przesądzać nie może, dopóki ich rzeczywiście nie doznał. Nikt nie wie, jakim byłby śród bitwy, albo jakby używał bogactwa, póki nie przeszedł przez ogień, albo nie miał w ręku pieniędzy. Co do dzieci jednakże sądzi, że kochałby je o tyle, o ile byłby przywiązany do żony. To powiedziawszy zasępił się nagle; ale wnet jakby się spostrzegł i chciał wzruszenie to pokryć, zaczął znów po swojemu żartować ze mnie, choć poczułem, że to było udanie. Po wyjeździe z popasu widocznie unikał rozmowy; zrozumiałem to, i marzyłem swoje. Ale ilekroć spojrzałem na niego, wyraz twarzy, a raczej czoła, przypominał mi owe czasy, kiedy pisał czwartą część Dziadów, albo kiedy go spotykałem wracającego z Antokolskich gajów, gdzie spacerując rano i po obiedzie, w ciągu trzech dni ułożył cały *epitr* do pana Joachima, Ale że owszem kazał słuchać *epitru*, w miarę jak przybył jaki nowy ustęp, a zaś o *Dziadach* nigdy ani słówka nie wspomniał; wnoszę więc, że jeśli w rzeczy samej *komponował* dziś wiersze, a nic mi sam o nich nie mówi, to przysiągłbym, że muszą być *amoroso*. Byłyby to więc pierwsze wiersze w podróży; bo tłumaczenie w Wejmarze prologu i parę miejsc z Fausta, było tylko wpół żartem, i jakby na próbę" (1. c., str. 69—70).

Epizod ten rzuca silny snop światła na powstanie utworu Mickiewicza[2]). Jak wiadomo, krytyka wykazała różne nieścisłości w Listach Odyńca, tu jednak wątpliwości byłyby zdaniem moim nieuzasadnione. Cały ten ustęp tchnie bowiem bezpośredniością świeżo przeżytych wrażeń i bynajmniej nie wygląda na dodatkowo zmyślone informacje o jakimś znanym wierszu, którego tytuł nawet

---

[1]) W połowie drogi między Thusis a Splügen.

[2]) Wspomina o tym ogólnikowo P. Chmielowski: Adam Mickiewicz, Zarys biograficzno-literacki. Warszawa-Kraków 1886, tom II, str. 39—40.

nie został przez Odyńca wspomniany. Psychologicznie całkiem prawdopodobną jest rzeczą, że rozmowy o dzieciach i Kownie, a nade wszystko o „żonie“ przywołały na pamięć Mickiewicza postać tej, o której czytamy na samym wstępie wspomnianego utworu:

Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady...
Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach
Wstrzymuję krok wiecznymi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonym niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie...

Nie omylimy się, sądzę, twierdząc, że „lodowiska“ to lodowce Alp gryzońskich, które poeta widział w Thusis i z drogi do Splügen; „kaskady“ to zapewne opisane w liście Odyńca wodospady Renu w Rofflaschlucht między Andeer i Splügen; „podniebne góry“ i poeta „spadający w otchłanie i niknący w chmurach“ to prawdopodobnie wspomnienia z Via Mala, o której pisze Odyniec: „Spojrzysz nad siebie — jesteś jak w przepaści; spojrzysz pod siebie — stoisz nad przepaścią. Wierzchy skał giną w obłokach, dno otchłani niknie w ciemnościach“. A może znajdujemy w tym echo przygody i niebezpieczeństwa, w jakim znalazł się Mickiewicz lecący w przepaść przy podważaniu głazu? I nawet szczegół zawarty w wierszu

„I oczy przecierając z lejącej się wody“

zdaje się mieścić wspomnienie strasznej ulewy w jaką podróżni, po przenocowaniu w „oberży“ w Splügen, powędrowali następnego dnia, udając się przez przełęcz Splügen na stronę włoską do Chiavenny. O tej ulewie towarzyszącej przez całą drogę pisze szeroko Odyniec: „Ale wyobraź sobie naszą podróż, czytamy w liście datowanym z Chiavenny 25 września 1829 r., z góry deszcz, wkoło mgła, tak że o pięć kroków nie widać; pod nogami naprzód błoto na szossie, ale wnet nad brzegiem wąwozu, w który droga całkiem zapadła, i gdzie tylko gdzieś w głębi słychać straszny szum rzeki — trzeba, żeby iść dalej, piąć się po spadzistościach góry, urwistej, kamienistej, skalistej, której wierzchu we mgle nie widać, ale skąd co krok leci strumień wezbrany, który albo przeskoczyć, albo w bród po kolana przejść trzeba, i to jeszcze trzymając się za kij przewodnika, a opierając się na swoim, aby z wodą w przepaść nie zlecieć. Musiałem zwinąć i oddać przewodnikowi parasol, aby mieć ręce wolniejsze. Ale co to za niemiła senzacja, gdy pierwsze krople ciurkiem zaczynają przeciekać za kołnierz“.

Kończąc poprzedni swój list, datowany ze Splügen pisał Odyniec: „Chmury zaczynają się skupiać, wiatr świszcze, a taki zimny, że aż mi palce krzepną, gdy to piszę. Adam grzeje się przy kominku, pali fajkę i duma“. Nie wątpimy, że wtedy właśnie powstawały w głowie poety wiersze, które miały się złożyć na całość utworu „Na Alpach w Splügen“. Sądzę jednak, że został on napisany nieco później, po przejeździe już na włoską stronę. Wskazywać na to zdają mi się następujące wiersze:

Ach, jabym cię za rękę po tych skałach wodził...
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta
Spoczynekby nas czekał pod góralską chatą
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu.

Czy w wierszach tych mieści się wspomnienie „oberży“ w Splügen gdzie Adam grzał się przy kominku, paląc fajkę i dumając? Nie sądzę, lecz myślę że wiersze te odnoszą się do drugiego postoju, na samej przełęczy Splügen, gdzie się podróżni polscy następnego dnia wśród wspomnianej ulewy znaleźli „w nędznym *szalecie* na górze, który ma być niby oberżą“. W opisie ulewy czytamy jeszcze: „Adam wziął jakąś płachtę, *quasi* płaszcz jednego z przewodników“. Czy nie przeobraziła się ona w „zwleczoną z barków szatę“, w wierszu o którym mówimy? Wszystko to zdaje się dowodzić, że powstał on już na ziemi włoskiej, w Chiavennie lub może nawet w Como dokąd obydwaj poeci podążyli[1]).

Lecz wróćmy do prawdziwej „oberży“ to jest do dzisiejszego hotelu Post Bodenhaus, gdzie i ja się znalazłem. Zachował się on chyba bez zmiany tak jak w epoce, kiedy gościł Mickiewicza i jego przyjaciela. Przestronne pokoje z oknami wpuszczonymi w grube mury, szerokie korytarze przypominają budynki klasztorne, klatka schodowa pełna starych sztychów, umeblowanie odpowiednie do tych ram. Niektóre pokoje luksusowo urządzone pamiętają czasy, kiedy koronowane głowy do tego hotelu zajeżdżały. Otrzymawszy pozwolenie dokładniejszego zaznajomienia się z treścią księgi, w której znalazłem dowód pobytu Mickiewicza i Odyńca, przeglądam jej pożółkłe karty, szukając innych nazwisk, zwłaszcza rodaków. Wśród nazwisk polskich znajduję następujące: Władysław Radoliński, Aleksander Leszczyński, Bernard Potocki, August Poniatowski, Stanisław i Adela Dunin-Borkowscy, hr. Woyna, hr. Wielhorski, Ignacy i Jerzy Sobolewscy, Jarosław Linowski, Stablewski. W końcu znajduję pod datą 24 października 1841 r. podpis „Comte Krasińsky“ przybyłego z Wenecji w drodze do Kolonii. Czy jest to Zygmunt? Błąd ortograficzny w nazwisku dowodziłby w każdym razie, że nie sam wpisał się do księgi, lecz dał się komuś wyręczyć. Ale nie może ten podpis odnosić się do autora „Irydiona“ z tego względu, że w tym czasie był on w Monachium, jak wynika z jego korespondencji. Że jednak przejeżdżał tędy, i to nie raz, nie ma najmniejszej wątpliwości. Wszak pisał do J. Słowackiego w liście datowanym z Rzymu 18 czerwca 1841 r.: „Za dni kilka stąd wyjeżdżam, jadę tą samą wieczną drogą moją: naprzód mokrą i parową do Genui, następnie suchą i górzystą przez Alpy, wreszcie równą i nudną przez Bawaryę do Kissingen“[2]). Zresztą mamy pewny dowód pobytu jego w tych stronach w wierszu p. t. „O ziemio włoska“, datowanym ze Splügen 11 lipca 1840 r. Tak jak Mickiewicz żegnał się z Marylą, tak on z Delfiną Potocką, którą zostawiał na ziemi włoskiej:

[1]) Władysław Mickiewicz twierdzi, że: „Wiersz ten rzucony na papier w wiosce Splügen, to ostatnie pożegnanie pierwszej miłości, to jakby wieniec kwiatów alpejskich złożony na grobowcu przeszłości“ (Żywot, Poznań 1931, tom II, str. 54).

[2]) Listy, Lwów 1887, tom III, str. 29.

O ziemio włoska, strzeż tego Anioła,
Gdy wysp łańcuchem zamknięty dokoła
Patrzy z skał twoich na błękitne fale
I może na mnie łzą tęsknoty woła.
Mów jej północnym wiatrów twych powiewem,
Żeś na ostatniej granic twoich skale[1])
Słyszała także mej rozpaczy żale —
I żem cię żegnał miłości westchnieniem.

Wśród cudzoziemców przeważają jak zawsze Anglicy, nie brak jednak przedstawicieli i innych narodowości. Ze znanych nazwisk notuję: Anastazja Chlustin, przyjaciółka Mickiewicza, która przejeżdżała tędy na krótko przed nim, 5 sierpnia 1829 r., księżna Golicyn, książę Jerzy Wołkońsky, prawdopodobnie także znajomi Mickiewicza, Alphonse de Lamartine ze świtą. Z koronowanych głów i z domów panujących zanotowano nazwiska księcia Hieronima Napoleona i Ludwika Napoleona Bonaparte, króla wirtemberskiego, arcyksięcia Maksymiliana austriackiego. W późniejszym okresie bawiła tu królowa Wiktoria; mieszkał również w tym hotelu i Nietzsche, który wspomina o nim w jednym ze swych utworów.

Księga jest prawdziwą kroniką informującą o różnych faktach dzisiaj zapomnianych. Oprócz nazwisk podróżnych znajdujemy zapiski okolicznościowe, nieraz zabawne wiersze, uwagi i informacje, których sobie nawzajem podróżni udzielali co do rozmaitych hoteli odwiedzanych po drodze, przy czym nieraz powstawały zajmujące polemiki.

Następnego dnia opuściłem gościnny hotel, udając się w przeciwnym niż Mickiewicz kierunku. Opuszczałem go w „dyliżansie" pocztowym, poruszanym jednak nie siłą koni, lecz motoru benzynowego. W Andeer widziałem bawiące się dzieci równie ładne i przyjacielskie jak owa dziewczynka, której literatura polska zawdzięcza powstanie wiersza „Na Alpach w Splügen" ...

---



---

[1]) To jest na przełęczy Splügen.

*Dr St. Liberek* (Szwajcaria)

# Nobilitacja robotnicza

Zagadnienie poruszone w tym artykule nie należy do „teorii“ ale do „doktryny“ ekonomicznej, to znaczy nie jest usiłowaniem wyjaśnienia rzeczywistości ile raczej oceną, sądem, wartościowaniem i ewentualnie programem reform[1]). W ekonomii politycznej należało by go włączyć do działu omawiającego warunki techniczne i prawne produkcji. Łączy się ono w szczególności z problemami zbiorowej akcji związków pracowniczych, których najbliższym celem jest nie tylko osiągnięcie całkowitego równouprawnienia „pracy“ z „kapitałem“, ale podporządkowanie „kapitału“ „pracy“. Analiza ogranicza się jedynie do akcji związków robotników przemysłowych[2]) usiłujących przez nowoczesną formę produkcji i przy poparciu odpowiedniego ustawodawstwa pozbawić robotnika charakteru „pariasa“ czy „najemnika“, uczynić natomiast z niego świadomego współtwórcę dóbr gospodarczych, mającego prawo do właściwego i należnego mu udziału w podziale dochodu społecznego.

W obecnych zróżniczkowanych ustrojach gospodarczych „liberalnych“ czy „socjalistycznych“ robotnik w dalszym ciągu należy do warstwy, która w piramidzie społecznej zajmuje najniższe i najpośledniejsze miejsce. Deklaracje najwięcej demokratyczne nie mogą w nim zatrzeć wrażenia stosowanego względem niego wyzysku, świadomości przynależności klasowej i upośledzenia społecznego, graniczącego z kompleksem niższości.

W ustrojach liberalnych i wolnej konkurencji podporządkowany jest on „kapitałowi“, w ustrojach socjalistycznych i protekcjonizmu — państwu, które przejęło rolę kapitalisty. O ile z punktu widzenia istniejących ustrojów i tendencji do ich zachowania lub zastąpienia innymi nie jest obojętne, czy kapitał jest własnością prywatną czy publiczną, o tyle dla robotnika rozróżnienie to nie ma istotnego znaczenia. Jak fakty stwierdzają — w ustrojach socjalistycznych robotnik przywiązany do swego warsztatu pracy, bez prawa opuszczania go, zobowiązany do akordowego, „stachanowskiego“, dwunastogodzinnego dnia pracy, pod ustawiczną presją nie tylko moralną egoistycznych przywódców, tak samo jest wyzyskiwany i nieszczęśliwy, jak w ustroju liberalnym, w którym pozostaje pionkiem w grze wielkich egoistycznych kapitalistów.

Wiek 19, wiek rozwoju wielkich przemysłów i ich koncentracji, spowodował odosobnienie robotnika. Tak przedsiębiorca jak i państwo mieli na celu raczej utrzymanie robotnika w ryzach posłusznego wykonywania narzuconej mu pracy, aniżeli jego dobrobyt. Badania Dra Villermé[3]) wykazały nędzę ówczesnego proletariatu. Nie mogąc znieść sytuacji zaistniałej na skutek dalszego rozwoju przemysłu, robotnicy materialnie i psychologicznie złączeni, postanowili nie tylko bronić swojej pozycji, ale walczyć i zdobywać pozycję

---

[1]) Różnica tych pojęć podana została w artykule »Nowe prądy ekonomiczne« »Horyzonty« nr 6.

[2]) Niektóre uwagi mogą się również odnieść do akcji związków robotników rolnych.

[3]) Pirou G. — Introduction à l'étude de l'économie politique. Sirey, 1939.

gwarantującą im pełne prawa samodzielności i niezależności. Akcja związków robotniczych długi czas zabroniona zyskała wreszcie pełne prawa obrony interesu robotnika. Z bogatej i wszechstronnej tej akcji wybieramy i analizujemy jedną, wprawdzie nie najważniejszą, ale najbardziej interesującą w tej chwili z uwagi na dokonywujące się przemiany gospodarcze w Kraju i możliwości jej realizacji. Jest to akcja robotniczych związków produkcyjnych, albo inaczej spółdzielni produkcyjnych.

Ruch spółdzielczy nie rozwinął się w takim stopniu, w jakim powinno to było nastąpić, biorąc pod uwagę jego ostateczne bardzo wzniosłe cele. Pozostawiając względną swobodę rozwojowi spółdzielni spożywców i kredytowych, które w niektórych państwach przybrały znaczne rozmiary, niechętnie widziano rozwój spółdzielni produkcyjnych, a niejednokrotnie wprost wykazywano ich „niebezpieczeństwo“. Stanowisko to jest zrozumiałe.

Robotniczy związek produkcyjny jest grupą pracowników usiłujących pozbyć się szefa — twierdzi Karol Gide, ekonomista francuski[1]). Z definicji tej zbyt ogólnej nie należy wyciągać wniosku, że celem ostatecznym tego rodzaju związków jest ustrój „anarchiczny“ szlachetnej utopii rewolucjonisty rosyjskiego Michała Bakunina, czy „komunistyczny“ lub „falansterski“ jowialnego mieszczanina francuskiego Karola Fourier. Twórcą tych spółdzielni jest bowiem uczeń Saint-Simon'a, mistyk i katolik Buchez[2]), jak również robotnik-mechanik Andrzej Godin[3]). Celem spółdzielni produkcyjnych jest po prostu podporządkowanie „kapitału“ „pracy“; innymi słowy, przeciwnie niż się to dzieje w przedsiębiorstwie kapitalistycznym, kapitał w spółdzielni produkcyjnej otrzymuje stałe oprocentowanie jako wynagrodzenie za oddaną usługę, a robotnik, członek spółdzielni, zmienną dywidendę to znaczy pozostałość po pokryciu kosztów produkcji. Takiej koncepcji produkcji wielki kapitał prywatny jest przeciwny, rola jego byłaby bowiem ograniczona, a ewentualne zyski nieznaczne. Jeżeli jednak ekonomiści indywidualiści, jak np. Stuart Mill, z taką samą sympatią odnoszą się do koncepcji robotniczych związków produkcyjnych jak np. Fourier i Ludwik Blanc, ekonomiści socjalistyczni, to dlatego, jak słusznie zauważa prof. Pirou[4]), że robotniczy związek produkcyjny ze swoją formą ustrojową w fabryce da się porównać z ustrojem demokratycznym w społeczeństwie; w związku produkcyjnym bowiem administracja i zarząd spoczywają w rękach samych robotników lub ich delegatów.

Dokonywany od dawna eksperyment spółdzielni produkcyjnych kończył się z nielicznymi wyjątkami niepowodzeniem. Przyczyny były i są różne;

[1]) Ch. Gide — Cours d'économie politique. Paris, 1923.

[2]) A. Cuvillier — Buchez et les origines de l'Association ouvrière de production, Paris, 1914. Założona pod wpływem Buchez w roku 1834 słynna spółdzielnia »bijoutiers en doré«, rozwiązana w roku 1896, była pewnego rodzaju zakonem, w którym członkowie obowiązani byli chodzić do komunii św., prowadzić się moralnie, a wynagrodzenie było jednakowe dla wszystkich członków bez względu na wykonywaną pracę. .

[3]) Ch. Gide — Fourier précurseur de la coopération. Paris, 1940. Andrzej Godin, mechanik, po stracie 100.000 frs. w doświadczeniach społecznych Wiktora Considérant w Texas, założył związek spółdzielczy produkcyjny tak zwany »familister«, w małym miasteczku francuskim Guise, niedaleko miasta Laon. Zbudował olbrzymi gmach »Pałac społeczny«, w którym pomieścił 400 rodzin. Realizując idee Fouriera, Godin okazał się daleko więcej praktyczny, aniżeli autor »falansterów«.

[4]) G. Pirou — Les cadres de la vie économique, t. 1. Paris, 1940.

najistotniejszą z nich — to brak kapitału niezbędnego do uruchomienia przedsiębiorstwa, nieumiejętność jego kierowania przez nieprzygotowanych do tej funkcji osobników; w wypadku znalezienia kapitału i doboru odpowiedniej administracji oraz rozwoju przedsiębiorstwa dążność robotników do egoistycznego wykorzystania sytuacji i przejścia z zasad gospodarki spółdzielczej do zasad gospodarki kapitalistycznej. W ten sposób sami zainteresowani kompromitują akcję, której celem ostatecznym jest wprowadzenie ustroju demokracji gospodarczej.

Dlatego też niektórzy przywódcy korporacyj robotniczych ze środowiska syndykalistów usiłują na miejsce spółdzielni produkcyjnych wprowadzić spółdzielnie rękodzielnicze. Wychodząc z założenia, że robotnicy nie mogą być zadowoleni z sytuacji, w jakiej się znajdują, i roli płatnych w tej samej wysokości mechanicznych wykonawców, niezainteresowanych w przedsiębiorstwie, oraz że w chwili obecnej, z małymi wyjątkami, warstwa robotnicza nie ma technicznego przygotowania, ani też wystarczających wiadomości do kierowania wielkim nowoczesnym przedsiębiorstwem, przywódcy korporacyj robotniczych sądzą, iż lepiej jest ograniczyć się do oddania robotnikom dziedziny, w której zdolności ich w pełni są uznane. Dziedziną tą jest według nich techniczna strona pracy robotników. Dziedzina natomiast prawdziwie gospodarcza, a zwłaszcza handlowa, do której robotnik nie ma żadnego przygotowania, winna być oddana zainteresowanym kupcom.

Spółdzielnie rękodzielnicze, skupiające rzemieślników tego samego rzemiosła, mogą pertraktować z przedsiębiorcą o warunki wynagrodzenia za wykonaną wspólnie pracę. Zysk rzemieślnika jest wtedy daleko wyższy, aniżeli w systemie indywidualnej pracy najemnej. Robotnik zatraca częściowo charakter upokarzający najemnika i staje się świadomym i więcej zainteresowanym na równi z innymi współtwórcą dóbr ekonomicznych.

H. Dubreil, autor „Republiki przemysłowej“[1]), syndykalista francuski, jest gorącym zwolennikiem systemu spółdzielni rękodzielniczych, które pod formą spółki komandytowej i kolektywnego kontraktu ekipy rozpowszechniły się w wielu fabrykach francuskich i belgijskich. Systemu tego nie należy utożsamiać z systemem „autonomii atelie“ Tomasza Bat'a, słynnego kapitalisty czeskiego i fabrykanta obuwia, który pozornie jedynie zdemokratyzował swoje przedsiębiorstwo, w rzeczywistości zaś utrzymał charakter gospodarki kapitalistycznej. W ramach jej robotnik pozostał nadal najemnikiem, jak to wykazał E. James w pracy o „Formach przedsiębiorstw“[2]).

Śledząc bez uprzedzeń eksperymenty spółdzielni rękodzielniczych i autonomii atelie systemu Bat'a, prof. Pirou[3]) jest zdania, iż wątpliwym jest, aby kombinacja tych dwóch systemów zawierała zalążek nowej organizacji, w której stosunek między kapitałem i pracą układałby się harmonijnie.

Ograniczając się do naszkicowania możliwości spółdzielni rękodzielniczych, jesteśmy zdania, iż bezsprzecznie są one pierwszym stopniem w usamodzielnieniu się robotnika i przejściem ze stanu najemnika do stanu wyższego i mniej zależnego rękodzielnika. Ta częściowa nobilitacja nie może jednak wystarczyć

[1]) H. Dubreil — La république industrielle.

[2]) E. James — Les formes d'entreprises. Sirey, 1935.

[3]) G. Pirou — Les cadres de la vie économique, t. I. Paris, 1940.

elicie robotniczej, która szuka rozwiązań więcej radykalnych i łączy swoje aspiracje z ruchem spółdzielczym.

Analizując w szczególności możliwości spółdzielni produkcyjnych pragniemy zwrócić uwagę, iż pomimo wyższości konkurencyjnej przedsiębiorstwa kapitalistycznego w tej chwili, przedsiębiorstwo spółdzielcze nie tylko ma swoją rację istnienia, ale jest niezbędne dla zwiększenia wysiłku, mającego na celu wprowadzenie demokracji gospodarczej w ustroju demokracji politycznej.

W tym celu jednak należy odsunąć wszelką demagogię polityczną i aspiracje egoistyczne, a szukać rozwiązań w oparciu się o zasady i prawa naukowe wiedzy ekonomicznej. Partyzanci robotniczych związków produkcyjnych nie mogą wyeliminować kapitału, który w tej chwili, poza pracą i talentem (zarządem, administracją i t. p.), stanowi zasadniczy element produkcji. Mogą natomiast wyznaczyć mu w pewnych ściśle określonych warunkach właściwą rolę w stosunku do pracy i talentu. Fourier, jak również Godin, doceniali właściwie kapitał; sukces „familisterów" zawdzięczamy umiejętnemu zastosowaniu przez Godin'a procentowego współudziału pracy, kapitału i talentu.

Podobnie i podział dochodu winien być dostosowany do tych trzech elementów produkcji. Godin zastosował do wyliczenia części zysku przypadającego kapitałowi i pracy specjalną kalkulację, która — należy przyznać — jest rewolucyjną i, jak twierdzi K. Gide[1]), rozpowszechni się być może w niedalekiej przyszłości.

Kalkulacja ta w/g Gid'a jest następująca: Przypuśćmy, że w przedsiębiorstwie, gdzie kapitał wynosi 2 miliony fr., zaś roczny zarobek pracowników 1 milion fr., zysk do podziału między kapitałem i pracą wynosi w końcu roku 300.000 fr.

W systemie kapitalistycznym podział zysku byłby następujący: ponieważ kapitał przedstawia wartość 2 milionów, a płaca 1 milion, to znaczy, że 2/3 zysku czyli 200.000 fr. winno przypaść kapitałowi, zaś 1/3 czyli 100.000 fr. pracy.

Według kalkulacji Godin'a kapitał 2 miliony fr. ma prawo do procentu, który wynosi 100.000 fr. i przedstawia cenę oddanych usług. Cena tych samych usług oddanych przez pracę (płaca pracowników) wynosi 1 milion. Zysk 300.000 fr. należy więc podzielić proporcjonalnie do oddanych usług, to znaczy do 100.000 fr. i 1 miliona; wtedy na kapitał przypadnie 27.380 fr., a na pracę 272.620 fr.

Niezależnie od zwiększonego zysku za pracę robotnik w spółdzielni produkcyjnej, wyzwolony ze stanu najemnika, staje się pełnym współwłaścicielem przedsiębiorstwa i akcjonariuszem. Godność jego zostaje uszanowana, praca właściwie wynagradzona. Zawiść społeczna ustępuje miejsca solidarności. Harmonijne współdziałanie pracy, kapitału i talentu, zapewnia właściwy postęp techniczny i materialny. Maszyna staje się niewolnikiem człowieka, a nie człowiek maszyny. Trud przestaje być przekleństwem ludzkim. Pracownik przy odpowiednio skróconym dniu pracy może więcej czasu poświęcić życiu rodzinnemu, interesującym go zagadnieniom, zdobywać kulturę, wzbogacając swoją wiedzę, konieczną dla poszukiwania dalszych dróg rozwoju ludzkości.

Interesującym być może jest podkreślenie, iż cele „technokracji"[2]) amerykańskiej, z którymi sympatyzował Roosvelt, a częściowo starał się realizować,

---

[1]) Ch. Gide -- Fourier précurseur de la coopération. Paris, 1921.

[2]) G. Pirou — Les nouveaux courants économiques de la théorie économique aux Etats-Unis. Paris, 1939 t. 1.

zbiegają się ostatecznie z celami przemian ustroju społecznego, przewidzianymi przez spółdzielnie produkcyjne. Różnica metody formy tych dwóch systemów w osiągnięciu tego samego celu jest wynikiem m. in. zmiennych warunków egzystencji pracowników amerykańskich i europejskich, a w szczególności pracowników Europy wschodniej, oraz różnicy ustrojów gospodarczych. Toteż szukanie rozwiązań wprowadzenia ustroju demokracji gospodarczej w Polsce musi z konieczności pójść innymi drogami, aniżeli np. w Stanach Zjednoczonych czy Rosji. Nie ma potrzeby nieudolnego kopiowania systemu istniejącego na Wschodzie czy Zachodzie, bowiem jeden z nich narzucony musiałby być zmodyfikowany radykalnie i dostosowany do potrzeb rzeczywistości polskiej. Rzeczywistość ta odbiega pod różnymi względami od warunków geopolitycznych, mentalności i ustrojów społecznych innych narodów. Robotnik polski w swej masie ma ponadto światopogląd chrześcijański i podobnie jak robotnik francuski jest indywidualistą. Reformatorzy przemian gospodarczych muszą więc również brać i ten czynnik pod uwagę, o ile zamysły ich nie mają być skazane w zarodku na niepowodzenie i o ile rzeczywiście dobro warstwy robotniczej mają na pierwszym miejscu. Robotnicy zaś winni odsunąć się od wszelkiej demagogii. Twierdzenie Karola Marksa, iż emancypacja robotników może wyjść tylko od nich samych, niezupełnie jest słuszne. W dążeniu do wyzwolenia warstwy robotniczej, poza nielicznymi wyjątkami, najwybitniejszą rolę odegrali intelektualiści z warstw uprzywilejowanych lub posiadających.

Ze wzgardliwie nazwanej „burżuazji" pochodzi większa część sztandarowych przywódców ruchu robotniczego z Leninem, Trockim i Marksem na czele z jednej strony, a z drugiej Le Play, Le Tour du Pin, Albertem de Mun, Sillon, Markiem Sangnier, francuskimi teoretykami katolicyzmu społecznego[1]), papieżami Piusem X, Piusem XI i w szczególności „papieżem robotników" Leonem XIII.

Dzisiaj przeważnie synowie lub wnukowie robotników i chłopów przewodzą różnym organizacjom i związkom nie tylko robotniczym, wchodząc jednocześnie do warstwy pracowników umysłowych i elity intelektualnej. Solidarność tych dwóch warstw może się jeszcze więcej zacieśnić z chwilą kiedy praca fizyczna czy umysłowa przestanie być uważana za „towar"[2]) i „zorganizuje się w miarę jak człowiek przejęty zostanie ideą religijną, iż praca jest najświętszą daniną winną życiu, to znaczy sobie samemu, sobie podobnym, Bogu". Tak pojęta przez twórcę „familisterów" o podstawach spółdzielczych Godin'a praca, należy przyznać, jest nie tylko najbardziej moralną, ale także uszlachetniającą każdego pracownika bez względu na rodzaj i charakter wykonywanej przez niego pracy.

W świetle tych rozważań polskie warstwy pracownicze, zainteresowane w realizacji demokratycznego ustroju gospodarczego, z niepokojem śledzą eksperyment „etatyzacji" dokonywany w kraju.

Jest rzeczą naturalną, że społeczeństwo chroniąc się przed wyzyskiem systemu kapitalistycznego, trustów i karteli, czy też przedsiębiorstw prywat-

---

[1]) G. Pirou — Les doctrines économiques en France depuis 1870. Paris, 1941.

[2]) Według ekonomisty amerykańskiego Verblen, praca jest realizacją naturalnego instynktu »instinct of workmanship«. Podobnie pracę traktuje W. C. Mitchell, najpopularniejszy i najwięcej nowoczesny ekonomista amerykański, przywódca młodej generacji ekonomistów Stanów Zjednoczonych.

nych o charakterze monopolu, pragnie sobie zagwarantować kontrolę zwłaszcza nad przedsiębiorstwami użyteczności publicznej. „Upaństwowienie“ jednak tej kontroli społeczeństwu nie daje. Jako dowód służą państwa o reżimie totalnym, w którym gospodarka kierowana przybiera zwyrodniałą formę kapitalizmu państwowego, nieposzanowania godności ludzkiej, wyzysku warst pracowniczych, perfidnej pseudo-demokracji, będącej zaprzeczeniem wszelkiej wolności.

W Polsce, podobnie jak we Francji, popełniono błąd przeprowadzając pochopnie „etatyzację“ zamiast „nacjonalizacji“. Nie jest to tylko nasza opinia, ale również m. in. Bernarda Lavergne, profesora uniwersytetu paryskiego, osobistości znanej ze swoich studiów nad kooperacją, współpracownika gen. de Gaulle.

Kierując się celami politycznymi, tak we Francji jak i Polsce, oddano zarząd nad bankami, fabrykami, kopalniami i t. p. bezpośrednio państwu, zamiast utworzyć spółdzielnie pod kontrolą państwa i im powierzyć zarząd. Tworząc z przedsiębiorstw „urzędy“ państwowe, odebrano im autonomię i wolność inicjatywy, bodziec najbardziej skuteczny w dobrej administracji.

Nie znamy sum przeznaczonych w budżecie na administrację upaństwowionych zakładów w Polsce. Budżet francuski przewiduje na te cele 120 miliardów fr. fr. w r. 1946. Według przewidywań samych ekonomistów francuskich eksploatacja upaństwowionych przedsiębiorstw będzie deficytowa. Demagogów politycznych fakt ten nie wiele obchodzi. Że dług państwowy wzrośnie, a obywatel obciążony zostanie podatkami i świadczeniami, że państwu może zagrozić ruina materialna, albo też zależność ekonomiczna zagranicy, za którą zazwyczaj idzie hegemonia polityczna — mało to wzrusza tych ludzi, byleby ich ambicje i interesy osobiste były zaspokojone.

Wiele ujemnych stron „etatyzmu“ można uniknąć, wprowadzając „nacjonalizację“ przedsiębiorstw użyteczności publicznej, opierając ich gospodarkę na zasadach spółdzielni autonomicznych pozostających pod kontrolą państwa. Kooperacja zainteresowanych pracowników jako współudziałowców, administracji i delegata państwa daje gwarancję, iż przedsiębiorstwo jako instytucja gospodarcza, mająca na celu osiągnięcie zysku, będzie służyło jednocześnie celom dobra powszechnego, prowadząc zdrową gospodarkę w oparciu o budżet realny, a nie urojony.

Błąd „etatyzmu“ w Polsce, który jest w naszym przekonaniu błędem zasadniczym co do formy, ale nie treści, jest łatwy do naprawy. Wystarczy zmodyfikować ustawy, które uczyniły z przedsiębiorstw „urzędy“ w tym duchu, aby pozwoliły one przedsiębiorstwa eksploatować na zasadach gospodarki spółdzielczej.

Jest to sugestia podsunięta rządowi francuskiemu przez prof. Lavergne, który coraz jaśniej widząc rzeczywistość gospodarczą zdaje sobie sprawę z popełnionych błędów.

W marażmie stosunków polskich, złudzeń na temat powrotu do systemu ekonomii liberalnej, jak i niebezpieczeństw naśladownictwa gospodarki kierowanej państw totalnych — w warunkach, kiedy należy zacząć pracę od fundamentów, otwiera się wspaniała droga do przebudowy ustroju gospodarczego w ramach polskiego ruchu spółdzielczego o zdecydowanym obliczu i światopoglądzie, którego syntezą jest wolność i człowieczeństwo.

**Władysław Łuczak** (Szwajcaria)

# TY I DĘBY

*Nad moim oknem wiszą
Chmury i śliw korale —
Wokoło bory milczą —
Wokoło borów dale — —*

*Czy ty coś mówisz do mnie? —
Czy ty przechodzisz tędy? —
Bo tak jest znów ogromnie
Cicho i tylko szumią dęby...*

*To bladym pną się smutkiem
Twe słowa: »ach, cóż znowu...« —
To idziesz mym ogródkiem,
Splatając rąk swój powój...*

*Tak pachnie dzisiaj ładnie,
Tak dobrze iść tu tędy...
Na pewno nie odgadnę,
Czy mówisz ty, czy dęby...*

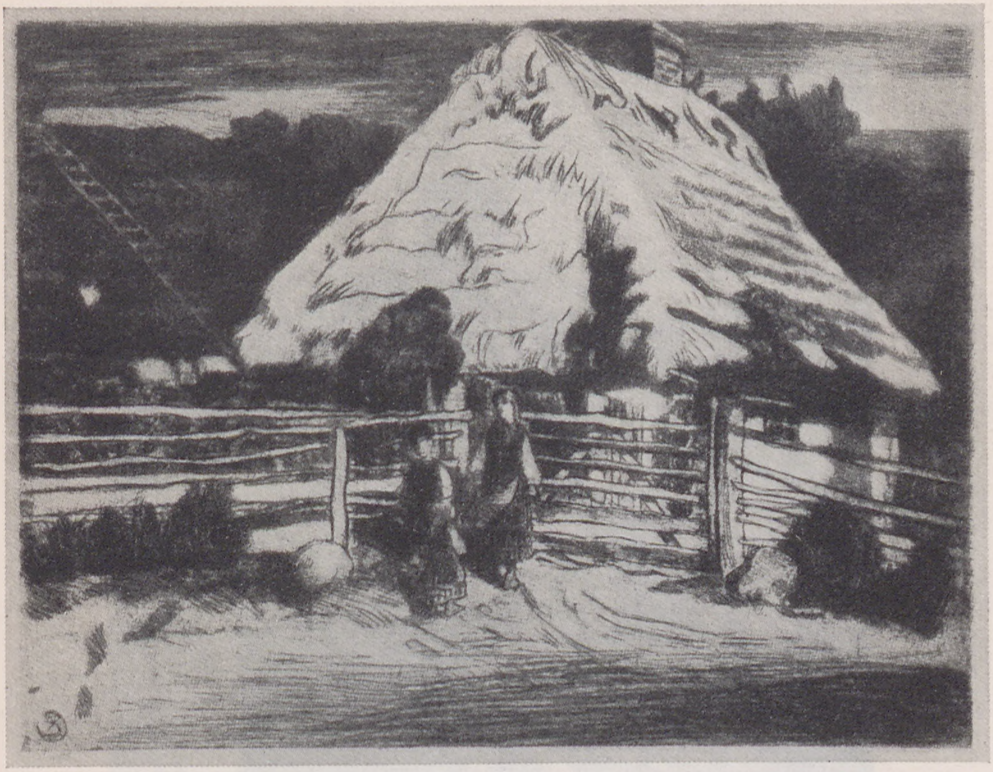
*Bo miałaś coś z tych borów,
Z zapachu coś i z malin,
Gdyś drżące brała wieczory
Z szerokich liści kalin...*

*I miałaś coś z drzew głębi,
Z przejasnych coś błękitów —
Żem myślał, że te wstęgi
Miedz u stóp ci kwitną...*

*Tak czytam dziś tę ciszę...
O wiśniach trochę marzę...
A w dłoniach sen kołyszę —
Pobladłych wspomnień twarze...*

*Tak czas ku nam powraca — —
I ty znów idziesz tędy...
O, nie wiem, kto wyzłaca
Mą drogę: ty, czy dęby...*

* * *



Zofia Stankiewicz. — Chata.



Leon Wyczółkowski. — Połów raków.

**Bronisław Kamiński (Francja)**

# *Zadumanie*

*Gdybym umiał wyrazić niezmierną dziwność mojego istnienia*
*usiadłbym przy czarodziejskich klawiszach*
*i grałbym nieznane dźwięki na nieznanych promieniach*
*i wtedy dopiero zacząłbym pisać*

*ale stoję między przestrzenią a pustką*
*i rękoma chwiejnymi chwytam nielogiczną rzeczywistość*
*bo twarz świata Weronika zakryła chustką*
*a na cierpieniu człowiecze imię wyryto*

*jakiś błazen albo kierownik teatru*
*wyszarpał kurtynę ze sceny*
*i żądze szalone rzucił dla żartu*
*aby światu pokazały co my możemy*

*i oto jest wojna i pokój*
*miliard ludzi biegnie przez tor wyścigowy*
*a rzeźbiarz śmierć stawia na pomnika cokół*
*śmierć czytającą biuletyn bankowy*

*lecz cóż to jest umrzeć albo żyć*
*lecz cóż to jest dogrywać tragedie wiecznych przemian*
*kiedy przed tobą jest droga którą musisz iść*
*choć u nóg twoich zwisa ziemia*

*i właśnie dlatego milczę*
*bo za ciężko się rodzą moje słowa*
*a od śpiewania słuchanie mi jest milsze*
*a od rozpusty zaraza morowa*

# Świt, dzień i noc

Kędyś daleko kwitną lipy pachnące miodem,
Kochane stare drzewa...
Można o świcie wyjść do ogrodu,
Otrząsnąć wonną, srebrzystą rosę
Z różanych krzewów,
Zanurzyć stopy bose
W chłodnej, puszystej trawie
I pierwsze promienie słońca
Ujrzeć odbite w stawie...
            Można w południe gorące
Przed siebie iść drogą polną
Bez końca,
Iść wolno
Ponad żyta dojrzałego łanem,
Pieścić dłonią pełne zboża kłosy,
Wiatrem kołysane...
            Można wejść w cienie sosnowego boru,
Wsłuchać się w leśne poszumy i głosy,
Upoić oczy harmonią kolorów
I skronie płonące
Przytulić do liliowych wrzosów...
            Można wieczorem, po pracy, siąść na leżaku
W pobliżu dębów starych,
Przed domem, na gazonie,
Słuchać brzęczenia komarów,
Śledzić lot ptaków,
Gdy powracają do swojego gniazda,
Patrzeć, jak na niebios szlaku
Zwolna zapalają się gwiazdy.
I w oknach domu światła też zabłysły,
Noc blask ten chłonie...
— Może dom czeka
Na jakiegoś przybysza z daleka?...
Na rzęsach krople rosy zawisły,
Spadły na dłonie...
            Ucichły życia wiejskiego odgłosy,
Wieczorne opadły rosy,
Skończony dzień pracy znojnej.
Jak za lat dawnych upojnie
Pachną lewkonie i róże...
            Można myśleć, że zegar czasu się zatrzymał —
Tylko, że coś się nigdy nie powtórzy,
Kogoś nie ma....

Ravensbrück w sierpniu 1944.

*Zofia Horowiczówna* (Szwajcaria)

# *KOLOROWA DZIEWCZYNA*

Aleja — —

Wiosna — Chaos zieleni —

Zieleń jasna. Brunatnawa. Żółta. — Światła. Cienie — —

Jakaś moc zaczarowana, zielona, potężna. — Jakaś moc życia w powietrzu —

(Poprzez czarne konary drzew, poprzez sploty gałęzi, poprzez delikatną koronkę liści przebija się światło. Załamuje, odbija, rozpryskuje. Przeplata dziwnymi cieniami na ziemi. Grą światła i cieni —)

Aleją idzie człowiek. Mała, ciemna plama. Powoli się posuwa. Zmęczone są nogi — tyle już przeszły. I zmęczony człowiek — tyle już przeżył —

Powoli idzie. Z przymkniętymi oczyma. Dziwnie błędnie. (Czarna znużona plama zabłąkana w zielonej mocy parku i wiosny)

Aleja — —

Wiosna — Zieleń —

Ławka — jak dobrze —

Sennym ruchem siada. Z pochyloną głową. Mechanicznie. Nie patrzy, nie odczuwa — —

Jakaś cisza dokoła. Jakiś wielki spokój przenika weń. (Kładzie się grą odprężanych muskułów na twarzy szarego człowieka). W tej ciszy jest jakaś jedność. Jedność milionów istnień. Milionów żyć —

Wiosna tajemniczeje — —

— Wyciąga ręce szary człowiek — Coś lekkiego, zwiewnego dotyka jego dłoni. Muska. Drażni — —

Otwiera oczy: dziwne zielone oczy. Zielone jak wiosna dokoła. Młode. Niezmęczone. Jakby nigdy nie patrzyły, nie widziały — —

Patrzą teraz dokoła — Rozszerzają się dziwnym uczuciem. Nieuchwytnym. Nieznanym. — Coś boli. Coś rwie. Coś dusi w gardle — Wspomnienie?

— — — Powoli przypominają się dawno słyszane słowa (— gdzie to było? —): Wiara celtycka mówi, że w kwiecie wiosennym zaklęte jest przeżycie. Najpiękniejsze każdego z nas. Zaklęte. Nieme. — Pod czarowną mocą przypomnienia pryskają okowy — Kwiat mówić poczyna — —

Bolesny skurcz szarej twarzy. Bolesna gra nerwów. Napięcie — — — — — — — — — — — — — — — Poznanie i zrozumienie — —

Opadają dłonie —

Wspomnienia stają się powoli wyraźne jak kwiaty —

Jasna postać, postać sprzed lat — Staje blisko, koło ławki — Blisko, ale nieuchwytnie. Inaczej niż wtedy — („za to, że nigdy raz zmarli nie wstaną“....... dziękować? Nigdy!)

Nie zmarła — — Odeszła tylko — —

Tak, to było dawno —

* * *

Młody był wtedy. I sławny był —

I grał, grał — —

Były noce duszne, bezsenne — Serce rwące się w dal. Burze bólu i namiętności potężnych.

I ciemny pokój, a w rogu fortepian. Duży. Czarny.

Grał — — O nocach bezsennych, o gigantycznych zmaganiach duszy artysty, o tęsknocie i dążeniach w dal —

Bożyszczem był Europy. Z miasta do miasta jeździł. Młody, wysoki o spalonych gorączką ustach. I dziwnie przymkniętych oczach.

Wszystko dlań grało — Mówili inni: patrz, to niebieskie jest a to gorzeje czerwienią — — Nie rozumiał. To niebieskie? (— cóż to znaczy?) To brzmi. Gra przecież. Spokojnie, harmonicznie, dojrzałą dłonią uderzone. — A tamto? Krzyczy kaskadą dźwięków!

I przymykały się oczy coraz mocniej. I nadsłuchiwało ucho coraz czujniej. Coraz goręcej przebiegała nerwowa dłoń klawisze — Powstawały dramaty dźwięków. Wyrywały się spod palców młodego boga.

Świat szalał z zachwytu!

— — Porusza się jasna postać sprzed lat. Przybliża. Jasny refleks kładzie się na szarej twarzy. Błysk w oczach! (tak, a potem przyszła ona — — —)

— — To było raz, kiedyś, gdzieś — Przyjęcie prywatne w stolicy. Gdzieś w oknie wielkiego salonu, w sobie zatopiony — stał — (z głębi dochodziły rozbawione głosy)

— — Potem grał — Przewaliła się burza dźwięków przez pokój. O marzeniach i tęsknocie. O nocach ciemnych, szarpaniną bolesnych. O dążeniach w dal. O wzlotach i upadkach — Zapadły. Przebrzmiały powoli —

I nagle (gdzieś z boku głos): nie, nie chcę! Ta muzyka to niedobra, przeklęta moc! Niszczycielska! Otwórz oczy, spójrz! Za oknem wiosna. Potężna i jasna. Życie, nie konanie! Wiosnę i życie chłoń muzyku! Wiosnę wygraj —

(Dziwny to był głos: chropowaty, niski dźwięk. Nowy — —)

Powoli magiczną wolą głosu urzeczony, oczy otworzył. Wiosna za oknem. Dziewczyna w pokoju. Dziwna dziewczyna. Kolorowa. Sieć długich, jasnych włosów. Intensywny błękit oczu — Zniecierpliwiona. Młoda. Silna. Kolorowa jak w baśni — jak ta wiosna za oknem — — —

* * *

Szli długo razem — Muzyk i dziewczyna. On o szeroko otwartych, dziwnie zielonych oczach (barwy w siebie wchłaniał — —) Ona z głową opartą na jego ramieniu (płynęła od niej moc życia)

Nie tworzył już wcale —

Gdzieś znikły noce bezsenne, szarpaniną bolesne. Znikł pokój ciemny z czarną masą fortepianu. I była tylko ta droga wśród wiosny z baśni — i ona, dziewczyna kolorowa.




Edmund Bartłomiejczyk.



Władysław Jarocki.

(— Pod gęstymi, jasnymi włosami czoło gładkie, dziecinne prawie. Czoło zamyślonego dziecka. Dziwnie dziecinnym był także mały, szeroki nos. Oczy pod prostymi łukami brwi ożywione wewnętrzną siłą kontrastowały z wyrazem ust. Te były pełne, zmysłowe, a równocześnie bezradne. Smutne czasem — — — — „Czy tylko zapomniał o marach przeszłości“ — pytały bez słów).

Szli długo razem —

Czasem budziło się echo w duszy — Coś niepokoiło, szarpało — — Odczuwała to natychmiast — Szeptała: „odpędź, zapomnij! Życie jest piękne, kolorowe — Życie nie jest tylko burzą dźwięków — nigdy!“ I tuliła się doń, jakby sobą odegnać chciała powracające wizje. Jakby stanąć chciała między nim a tym szaleństwem tonów.

Długo trwała wiosna roku niezapomnianego — —

— — Aż któregoś dnia znikła dziewczyna — Nie było wiosny i jej nie było — Dokoła panoszyło się męczące, duszne lato. Dysharmonia i przeładowanie. Gorączka i ból. I straszna pustka w sercu — —

— — Szedł w bólu swoim przez świat. Pod szerokim rondem kapelusza (miał zasłonić wszystko) twarz żarząca się ciemno czerwonym odblaskiem. Twarz jakby z czeluści, z piekieł — I naprawdę — on nosił w sobie swoje piekło tęsknoty i pustki po jej odejściu — — —

(— Czemu jej nie ma? Niech wróci — Nie ma wiosny i nie ma dziewczyny — Odeszły obie — Wiosnę stworzyć muszę, przywołać ogromną kaskadą barw. Wróci, wrócić musi — — — —)

* * *

Nagle błysk liliowawo-ciemny. I wielka sala, a w niej tłum ludzi —

A na podium siedzi człowiek. Jasna plama dłoni w ciemnej sali. Długie, wąskie palce. Białe. I białe są klawisze fortepianu.

Przestrzeń zastygła w bezruchu. (— wszystko koncentruje się na tych jaskrawo-białych dłoniach —)

Każdy palec to inna myśl. Sama dla siebie. Potężna. Każdy klawisz to inny głos — Zadrgały palce — Myśli splatają się z głosami — — — —

(muzyk to dziwne, baśniowe stworzenie, które świat słuchem pojmuje — —)

Dziwnymi skrętami przecinają białe palce ciemne powietrze. Drgają niecierpliwie — boleśnie. Coraz mocniej naciskają klawisze. Coraz gwałtowniej przebiegają. Rzucają się. Krzyczą — — (obnażone, na pokaz tłumu rzucone uczucia — —)

Płynie pieśń o bólu i tęsknocie, o pogoni za czymś, o niemocy stworzenia czegoś —

Jeszcze jeden zwątpiały okrzyk! —

Cisza — —

A potem burza oklasków. Jakby huragan rozszalał w sali zamkniętej i ujścia szukał — Szalał i groził — —

Kłania się mechanicznie młody muzyk. Opada głowa ciężka jak tęsknota. Serce nabrzmiewa bólem. Dłonie wiotczeją w poczuciu swej bezsiły (nie ma wiosny. Nie przywołały jej, nie umieją. Nie wróci już nigdy baśniowa dziewczyna — —)

Ostatni raz grał wtedy —

* * *

Jak we śnie szedł dalej. Poprzez chłód, poniewierkę, głód. Wsłuchany w siebie. W swój ból, niemy już —

Powoli znikł dla swojego otoczenia. Mówili o nim: oszalał. Mówili inni: umarł. Jeszcze inni: stoczył się.

* * *

Aleja. Wiosna. Światła. Cienie — —

Dzisiaj. Dzisiaj i wtedy, dawno —

Ławka. Szara, znużona plama człowieka —

— Oczy szeroko otwarte. Błądzące wokół. Szukające. Badawcze.

(a w duszy wspomnienia płyną rzeką — — —)

Drażniąca oko zieleń. Mieni się. Faluje. Gra, gra tysiącem głosów!

Wstrzymany oddech — — błysk!

Zrywa się szara postać. Stawia pierwszy krok. Odurzony. Niepewny — —

Prostuje się! Śpieszyć poczyna — Biegnie — — — — —

— — — Długie, wąskie uliczki. Chropawe kocimi łbami. Drwiące setką kałuż. Zakrętów. Przedłużeń — —

Ostatni zaułek. Odrapana brama. Wąski przełyk schodów. Ciemny, duży pokój (ciemny jak to życie: tu słońce nigdy nie dochodzi — —)

Czarna masa fortepianu. Wystającą bielą klawiszy przyciąga i odpycha.

Minuty wahania. Przyspieszony oddech — —

— — Spadają palce na klawiaturę. Przebiegają. Gonią się. Niecierpliwe. Drżące (drażnią obietnicą pozostania — wiosna i wspomnienie dziewczyny kolorowej).

Gorączka poszukiwania! Męka pogoni! — — Martwota palców (jak trudno uchwycić barwy — —)

— — W półoddechu płynie odwieczna pieśń bólu i dążeń daremnych. Dźwięki urwane jak zbladłe wspomnienia. Tony zagasłe jak niedokończone sny. (jest w nich serce nabrzmiałe daremnym, ostatnim zrywem).

— Rozpryskuje się rytm. Zapada w pustkę — — —

I straszliwie znużonym ruchem spada głowa na fortepian. I w tej chwili rozbrzmiewa on (to zawsze wierne echo — — —) okrzykiem rezygnacji, po której nie ma już niczego — — —

## Instytut Historyczny Generała Sikorskiego

Na podstawie umowy zawartej dnia 3 maja 1945 r. między p. Heleną Sikorską, wdową po generale Władysławie Sikorskim, a 12 członkami założycielami: The Earl of Elgin and Kincardine, Sir R. Stafford Crips, płk. H. P. Mitchell, Sir Archibald Sinclair, Sir James Colquhoune Irvine, Anthony Drexel Biddle Esq., gen. M. Kukielem, adm. J. Świrskim, prof. S. Strońskim, dr. J. Retingerem, płk. S. Szurlejem i inż. S. Leśniowskim — utworzony został w Londynie Instytut Historyczny Generała Sikorskiego (The General Sikorski Historical Institute). Celem Instytutu jest stworzenie muzeum i archiwum wszelkiego rodzaju pamiątek po tragicznie zmarłym Generale, mających stworzyć podstawy do dalszych badań historycznych.

Dotychczas posiadane materiały, stanowiące bądź własność wdowy po Generale, względnie pochodzące z innych źródeł, zdeponowane zostały narazie w Gask House w Szkocji. Podzielone są one na nast. cztery grupy:

1. Kolekcja pamiątek, jak mundury, dekoracje, adresy, broń otrzymana w darze przez Generała itp.,
2. biblioteka dzieł dedykowanych Generałowi, albumów, wierszy itp.,
3. dziennik Generała za okres od 1 września 1939 do 4 lipca 1943,
4. archiwum osobiste, dokumenty, listy itd.

Zbiory te jednak mają być udostępnione nie tylko naukowcom, ale również szerszej publiczności. Dla zrealizowania tego celu zakupiony został ostatnio dom w Londynie, w którym zostaną one umieszczone oraz skompletowane.

Dyrekcję Instytutu objął na podstawie uchwały Walnego Zebrania Rady Instytutu ppłk Z. Borkowski.

*maj.*

# GŁOSY PRASY

**Tragiczny problem polskich dzieci.** Nr 87 „ŻYCIA WARSZAWY“, wychodzącego w stolicy, zamieszcza na powyższy temat obszerny artykuł. Oto kilka wymownych życiorysów dzieci, „chodzących własnymi drogami“:

„Dwaj małoletni repatrianci zza Bugu: 10-letni chłopak, którego ojciec zginął na froncie, a matkę rozstrzelali Niemcy, i 17-letni sierota, w roku 1941 wywieziony na roboty do Niemiec, który niedawno powrócił do kraju. Potem 13-letni sierota, złodziej, podszywający się na dodatek pod cudze nazwisko. Włóczy się od chwili powstania. Potem 17-letni złodziej i wagabunda. Zapóźniony w rozwoju. Ojciec na Zachodzie nie daje znaku życia o sobie. Matki nie ma. Potem również opóźniony w rozwoju 13-letni, całkowity analfabeta, tułający się samopas przez całą wojnę. Potem dwie dziewczynki. Pierwsza dziecko nieślubne, w wieku lat 10-ciu, analfabetka. Uciekła od ciotki, utrzymującej się z szabru. Druga, 14-letnia, były podrzutek z Domu ks. Boduena, wzięty na wychowanie do rodziny zastępczej. Wróciła do zakładu, bo opiekunowie nie mogą sobie dać z nią rady. Jest, jak się mówi, „trudna“. Wreszcie pięcioro rodzeństwa — najmłodsze ma trzy, najstarsze 9 lat. Ojciec zginął w powstaniu, matka zmarła z wyczerpania na tułaczce. Jedyna opiekunka dzieci — ciotka — zdradza objawy choroby umysłowej“.

Można by tak było wyliczać nie tylko dziesiątki, lecz setki. Są to tylko dzieci, zebrane przez jedną ze stacji Pogotowia Opiekuńczego w Warszawie. A stacyj takich jest więcej, są one w każdym niemal mieście polskim.

Co dzieje się z tymi dziećmi? Pozostają one w Pogotowiu przez trzy tygodnie, lecz poważny odsetek doprowadzonych stanowi element włóczęgowski, lub zgoła przestępczy, który ucieka w bardzo krótkim czasie. W czasie miesięcy zimowych bywają wprawdzie wypadki przeciwne, że chłopcy tego rodzaju przychodzą do Pogotowia dobrowolnie — i to całymi grupami. Wolą przetrwać w zakładzie najcięższą dla nich porę roku. Zdarza się również, że niektórzy z nich zgłaszają się do Pogotowia, aby tylko otrzymać odzież, a potem „na wolności“ przehandlować ją. Proceder ten powtarzają po dwa, trzy razy.

Sprawa jest naprawdę skomplikowana, gdyż dotąd nie ma w Warszawie zakładów dla dzieci trudnych do prowadzenia. Istnienie zaś samego Pogotowia Opiekuńczego nie zapobiega złu całkowicie. Pismo woła o racjonalną opiekę nad dzieckiem, pozostawionym własnemu losowi. Samo Pogotowie — to pierwszy zaledwie etap. Jego działalność nie wyda owoców, jeśli w najkrótszym czasie nie stworzy się specjalnych zakładów, których celem będzie zajęcie się na stałe i gruntowne wychowanie od nowa opuszczonych dzieci.

**Pomoc dla kraju.** „LIGA“, organ Ligi Katolickiej w Chicago, w numerze trzecim zajmuje się sprawą pomocy katolików w Stanach Zjednoczonych dla Polski. M. in. pismo stwierdza:

Kościół katolicki w Polsce jest jedną z tych instytucyj, które najbardziej ucierpiały w czasie okupacji niemieckiej.

...Spełniając nasze zadanie, aby Polska znowu katolicką być mogła i katolicką na wieki pozostała, podajemy do wiadomości, że ogólna wartość wysyłek wprost do Polski wynosi już dol. 169.328,32.

Na pomoc religijną wśród polskich wysiedleńców i wygnańców, jak wzmiankowaliśmy kilka miesięcy temu, wydaliśmy dol. 72.005,30.

Pracując cicho, skromnie, bez żadnej reklamy i rozgłosu, Liga katolicka wydała już na pomoc religijną dol. 241.333,62.

Jest to jeszcze jeden z wielu dowodów ofiarności polskiego społeczeństwa w Ameryce, które czyni wszelkie możliwe wysiłki, aby przyjść krajowi z pomocą.

**Absurdalny przepis.** W numerze 11 tygodnika „POLSKA“, ukazującego się w Ludwigsburgu, St. Twardzic porusza bardzo żywotne zagadnienie z życia Polaków za granicą:

Obecny stan, polegający na tym, że rzesze wysiedleńców znajdują się na bezpłatnym utrzymaniu UNRRA — jest nie tylko stanem przejściowym, ale i niezdrowym i nienormalnym. UNRRA napewno — prędzej czy później — zakończy swą pożyteczną i ze wszech miar na wdzięczność zasługującą akcję i wówczas każdy z pozostających w Niemczech cudzoziemców będzie musiał zarobić na utrzymanie własne i swojej rodziny. Jest to rzecz zrozumiała i każdy z nas bierze ją już dzisiaj pod uwagę, ponieważ nie mamy zamiaru pozostawać wiecznie na cudzym chlebie. Nigdybyśmy w życiu z niego nie korzystali, każdy z nas był panem swojego losu, i dlatego również w dalszej naszej przyszłości pragniemy nasz byt oprzeć na samodzielnej pracy.

I tu właśnie napotykamy na niezwykłą trudność.

Oto według obowiązujących w tej chwili przepisów władzy okupacyjnej w Niemczech, cudzoziemcy, a więc także i Polacy, nie mają prawa i nie mogą uzyskać zezwolenia na otwarcie własnych przedsiębiorstw.

Zarządzenie to stoi w jaskrawej sprzeczności z prawem wyboru podczas aktu repatriacyjnego. Jeżeli bowiem posiadamy prawo pozostania, to oczywiście musimy równocześnie posiadać prawo zarobkowania. Nikt nie może nas zmusić do tego, abyśmy musieli zarabiać tylko jako pracownicy czy robotnicy w przedsiębiorstwach alianckich czy niemieckich, ponieważ mamy niezaprzeczalne prawo oparte na zasadach demokratycznego porządku do zakładania własnych, samodzielnych warsztatów pracy i zarobkowania na własny, wyłączny rachunek, na równi z obywatelami wszystkich innych narodowości. Co do tej zasady nie może być żadnej dyskusji, o ile oczywiście nie stanie się na stanowisku, że Polacy lub inni cudzoziemcy w Niemczech mają być strąceni do roli prześladowanej grupy. Nie widzimy żadnych przyczyn, aby czynniki alianckie mogły uznać tego rodzaju zasadę za obowiązującą dla siebie.

Obecnie obowiązujący przepis, odmawiający obcokrajowcom prawa zakładania własnych przedsiębiorstw, jest niewątpliwie zarządzeniem, wydanym w początkowej fazie okupacji w tym celu, aby przeszkodzić, w pierwszym okresie chaosu, wszelkiego rodzaju niezdrowym spekulacjom. Okres ten jednak powoli mija i życie wraca w coraz bardziej uporządkowane normy.

Wobec zbliżania się końca akcji repatriacyjnej, przepis ten jest ponadto oczywistym absurdem wobec faktu, że te same czynniki okupacyjne dopuszczają możliwość pozostania większej lub mniejszej części obcokrajowców na terenie Niemiec.

Jest rzeczą dużej wagi, aby sprawa ta zawczasu została rozstrzygnięta i obecny stan zmieniony, ponieważ jego utrzymanie grozić może poważnymi powikłaniami. Organizacja centralna Polaków, działająca na terenie Niemiec, winna już obecnie podjąć szybką i energiczną inicjatywę u właściwych czynników alianckich we wszystkich strefach okupacyjnych, aby jak najrychlej doprowadzić do zmiany przepisu, który w chwili zakończenia akcji repatriacyjnej może doprowadzić do katastrofy tych osób, które pozostaną poza granicami kraju.

Nie widzimy przyczyn, które miałyby skłaniać czynniki alianckie do podtrzymania obowiązującego przepisu i dlatego właśnie jego sprawę należy poruszyć i doprowadzić do zmiany zgodnej z potrzebami ludności polskiej, a także władz okupacyjnych, które napewno pragną w ludności polskiej posiadać czynnik porządku i ładu, zajęty przy zdrowych warsztatach samodzielnej pracy".

**Rocznica śmierci Karola Szymanowskiego.** W „POLSCE WIERNEJ" z dnia 7 kwietnia b. r. znajdujemy wiadomość o odprawieniu nabożeństwa żałobnego w kościele polskim w Paryżu ku czci polskiego kompozytora i muzyka Karola Szymanowskiego. Jak wiadomo, Szymanowski zmarł przedwcześnie na dwa lata przed wojną, w dniu 29 marca 1937 roku w Lozannie, w Szwajcarii. Zwłoki jego przewiezione zostały na Skałkę w Krakowie.

Z okazji tej rocznicy śmierci wspomniane pismo pisze, co następuje:

Nemo propheta in patria sua. Tak możnaby powiedzieć o Karolu Szymanowskim, wielkim naszym polskim kompozytorze, którego, przyznać to musimy, za życia Jego tak mało docenialiśmy w kraju. Znała go dobrze zagranica i doceniając Jego wielki talent wystawiała z wielkim powodzeniem utwory Jego na estradach europejskich. Paryż muzyczny, dzisiaj jeszcze w superlatywach mówi o „Harnasiach" Szymanowskiego z r. 1936. „Harnasie" znane były wprawdzie też w Polsce, ile jednak słów gorzkiej krytyki wypowiedziano o tym wspaniałym dziele Szymanowskiego, które przecież tak wybitnie wzbogaciło naszą polską literaturę muzyczną, szczególnie jeśli chodzi o dzieła oparte na folklorze polskim.

W Nr 96 DZIENNIKA ZACHODNIEGO z dnia 7.4., ukazującego się w Katowicach, znajdujemy następującą notatkę:

W dniu 31 marca przypadała 9 rocznica śmierci Karola Szymanowskiego. Kraków uczcił ją uroczystym obchodem połączonym ze złożeniem wieńca na grobie wielkiego kompozytora na Skałce i koncertem filharmonicznym w dniu 5 kwietnia, poświęconym jego twórczości. W dniach 6 i 7 kwietnia otwarta była w lokalu Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie wystawa pamiątek i dokumentów, dotyczących „Harnasiów". Równocześnie nadeszła wiadomość, że dzięki staraniom dr. Zofii Lissa, attache do spraw kultury i sztuki przy Ambasadzie R. P. w Moskwie, odnalezione zostały w prywatnych zbiorach rękopisy Szymanowskiego, m. in. Etiudy Opus 33, „Serenada Don Juana" (z cyklu „Maski") i in. Wraz z rękopisami odnaleziono fotografie kompozytora z lat młodości oraz jego korespondencje i wspomnienia.

*T. Jaraczewski*

# Szwajcarski Komitet Pomocy Lekarskiej Polsce

Organizacja ta, znana w Szwajcarii pod nazwą Comité Suisse d'Aide Médicale à la Pologne, powstała w Genewie, gdzie 15.XI.45 ukonstytuował się jej zarząd. Prezesem wybrany został prof. Dr Th. Reh, członkami Komitetu profesorowie: dr G. Bickel, dr E. Bujard, dr A. Jentzer i dr M. Roch. Komitet postawił sobie za cel przynieść jak najszybszą pomoc lekarską ludności polskiej w kraju oraz deportowanym Polakom, pozbawionym prymitywnych środków bytowania, a zamieszkującym różne kraje Europy. W tym celu postanowiono zebrać lekarstwa, materiał sanitarny, bandaże oraz fundusze, który pozwoliłyby na zakupienie w razie potrzeby materiału leczniczego. Jednocześnie przewidziano wysłanie do Polski misji lekarskich



Nadesłane lekarstwa.

w momencie, gdy na to pozwolą okoliczności. Akcja Komitetu objęła całą Szwajcarię i w głównych miastach miały być stworzone komitety kantonalne. Pomimo nałożenia jej z góry dość ciasnych granic rozwinęła się ona od początku bardzo pomyślnie. Zebrano produkty medyczne i fundusze wśród lekarzy, aptekarzy, w klinikach, szpitalach i laboratoriach farmaceutycznych. Dzięki ofiarności lekarzy kantonów: Genewskiego, Lozańskiego, Fryburskiego, Zurychskiego, Bazylejskiego i Glarneńskiego, dzięki hojności niektórych wytwórni lekarstw jak np.: Ciba, Hoffmann La Roche, Sandoz, Zyma, Geigy, Gilag, Sauter i t.d. zebrano kilka tysięcy lekarstw, które następnie musiały być skontrolowane, posegregowane, popakowane, poważone i według tego samego rodzaju lekarstw zapakowane. Wobec alarmujących wiadomości o zastraszającym stanie sanitarnym w Polsce i wśród Polaków, przebywających poza krajem, o zupełnym braku lekarstw, narzędzi chirurgicznych i t. p. — Komitet przystąpił natychmiast do wysyłki środków leczniczych dla Polaków w Niemczech, Francji, Austrii i Belgii. Prócz znacznych przesyłek zbiorowych Komitet odpowiadał codziennymi wysyłkami lekarstw na setki indywidualnych próśb, napływających ze wszystkich stron Europy. Jednocześnie czyniono starania o możliwość wysłania misji do Polski. Po wielu staraniach uzyskuje Komitet zezwolenie i ułatwienie ze strony Poselstwa w Bernie na wjazd do Polski. Kolumna samochodowa zabiera do Warszawy przeszło 2 tysiące kg lekarstw, bandaży i narzędzi chirurgicznych.




Po posegregowaniu umieszczenie na półkach.

Po powrocie misji z Polski w grudniu 1945 rozpoczyna Komitet ze zmniejszonym do $^1/_3$personelem definitywne selekcjonowanie i inwentaryzowanie lekarstw. Prace te uwieńcza założona ostatnio kartoteka, zawierająca ni mniej ni więcej jak 5.000 najrozmaitszych rodzajów




Lekarstwo gotowe do wysyłki (większa ilość tego samego lekarstwa jest zapakowywana do kartonów; pojedyńcze lekarstwa lub w mniejszych ilościach zostają na półkach do wysyłek indywidualnych.

lekarstw. Ponieważ zaś z drugiej strony jeden rodzaj lekarstwa jest często wytwarzany pod rozmaitymi postaciami, jak np. ampułki, czopki, tabletki, proszki, drażetki, krople i t. d., powyższa cyfra wzrasta do 7—10.000. (W tej cyfrze każdy rodzaj lekarstwa znajduje się w różnych ilościach. I tak np. może być 30 pudełek ampułek „Cibalgine", 20 pud. czopków i t. d.

Ostatnio wysłano większą ilość lekarstw do przytułku dzieci polskich w Tefels (Austria) oraz bardzo dużą wysyłkę dla Pol. Czerw. Krzyża we Włoszech, pozbawionego od czasu przekazania przez aliantów stoków lekarstw, zdobytych na Niemcach, Włoskiemu Czerw. Krzyżowi, całkowicie lekarstw koniecznych dla leczenia polskiej ludności cywilnej. Również liczne są indywidualne wysyłki lekarstw do Polski. Aby tym skuteczniej zaradzić niedostatkowi lekarstw w Polsce — Komitet postanowił rozszerzyć swoją działalność w zakresie zbiórki funduszów, przeznaczonych na zakup najbardziej potrzebnych lekarstw, i w tym celu zaapelować do całej ludności Szwajcarii. Każdy datek będzie wyłącznie na to zużyty, ponieważ Komitet nie zatrudnia pracowników płatnych.

Ukonstytuowanie podkomitetów kantonalnych, przeprowadzenie zbiórki w ich ramach — oto najbliższe etapy pracy Komitetu, którego popieranie — to pomoc najbardziej skuteczna w ulżeniu obecnej ciężkiej doli społeczeństwa polskiego, gdziekolwiek się ono znajduje.

Adres Komitetu: *Comité Suisse d'Aide Médicale à la Pologne, Genève, 4, rue Gourgas. Tel. 4 50 12. Konto poczt. I 96.89.*

## Z działalności „Towarzystwa Przyjaciół Polski"

Znane tak dobrze przed wojną w Polsce i we Francji stowarzyszenie „Les Amis de la Pologne" znalazło się w okresie ostatniej wojny w niezmiernie trudnej sytuacji. W czasie okupacji Francji biura tej organizacji zostały zniszczone, zbiory zrabowane, wielu zaś członków wywieźli okupanci do Niemiec. Praca stowarzyszenia nie zamarła jednak całkowicie, stwarzając nowy i piękny rozdział w historii przyjaźni polsko-francuskiej.

Po uwolnieniu Francji organizacja ta została zreformowana. Rozpoczęciu nowych prac stanął początkowo na przeszkodzie brak odpowiednich pomieszczeń, co jednak wkrótce, bo już 22 maja 1945, zostało szczęśliwie rozwiązane dzięki ofiarności p. M. Kroczyńskiego, który oddał swoje lokale biurowe do dyspozycji stowarzyszenia. W lutym 1946 znalazło ono nowe schronie w lokalu starej i zasłużonej organizacji Sokoła przy ul. Corneille'a 7, w sercu słynnej dzielnicy łacińskiej. Dalszą pracę rozpoczęto przede wszystkim od rewizji statutu, idącej po linii wzmożenia wysiłków nad dalszym utrwaleniem stosunków przyjaźni między oboma narodami w zakresie ich polityki wewnętrznej i zagranicznej. Zdecydowano się na nowe posunięcia, bazujące na nowych podstawach powojennego świata. Wysiłki organizacyjne idą przede wszystkim w kierunku pozyskania jak największej liczby zwolenników, którzy grupować się będą w komitetach regionalnych. Trzy pierwsze grupy od momentu ich założenia przejawiają znaczną działalność. Są to:

*Grupa Picardie,* której przewodniczy p. Gillete Demange w Abbeville (1, rue de l'Eauette), wykazuje nadzwyczajny rozwój i skupia ponad 500 członków;

*Grupa Flandre-Artois* z siedzibą w Lille. Kierownikiem jest p. M. Guinchard (6, avenue Simone), który w życie organizacji wnosi wielkie zasoby entuzjazmu i zapału. Prezydium honorowe tworzą: prefekt p. M. Verlome, J. Em. kardynał Liénart, rektor p. M. Duez, dziekan wydziału filozoficznego p. M. Herman oraz burmistrz miasta Lille p. M. Cordonnier.

*Grupa Bretońska* dzięki współpracy pp. Dudouit (Rennes, 88, rue de Fougéres), pań Anny-Marii Rozelet i Philouze, dzięki prezesowi p. M. Wolffowi, rektorowi Akademii rozwija swoją działalność w sposób imponujący.

Piękne rezultaty osiągnęła praca również w innych miejscowościach, co pozwala żywić nadzieję, że wkrótce wydawać będzie ona owoce takie, jak przed wojną. Akcja stowarzyszenia „Les Amis de la Pologne" rozwija się w dwóch kierunkach:

a) szerzenia znajomości Polski wśród Francuzów. Przed wojną celem organizacji było naprawienie krzywdy i zapomnienia, z jakimi Polska spotykała się przez 150 lat w Europie. Ostatnia wojna spowodowała w społeczeństwie francuskim nowe luki we właściwej ocenie zasług i krzywdy narodu polskiego;

b) niesienia pomocy, co może jest bardziej palącym zagadnieniem, Polakom znajdującym się we Francji, a cierpiącym wszelki niedostatek.

Powojenna kronika działalności stowarzyszenia może pochlubić się wielu osiągnięciami. Podajemy z nich tylko niektóre:

W Paryżu odbyła się w dniu 2 maja 1945 wielka manifestacja przyjaciół Polski, zorganizowana w „Maison de la Chimie" przez towarzystwa francusko-polskie; wygłosił na niej

przemówienie p. Louis Marin, gorąco oklaskiwany przez obecnych. Tamże, w dniu 27 maja, do zebranych delegatów polskich organizacji patriotycznych przemawiała p. Rosa Bailly, domagając się zwrotu Polsce Lwowa i Wilna.

W Saint-Germain-l'Auxerrois, w dniu 13 maja, na prośbę Stow. Przyj. Pol. celebrował mszę św. ks. Ducaud-Bourget. Kazanie jego, poświęcone Polsce, porwało słuchaczy swoimi akcentami ufności i miłości. Po nabożeństwie wygłosiła p. Rosa Bailly odczyt o poetach polskich w czasie powstania.

W dniu 2 listopada 1945 członkowie stowarzyszenia wespół z przedstawicielami polskiej emigracji i korpusu oficerskiego udali się na grobowiec Chopena dla wspólnego złożenia kwiatów.

Podobna uroczystość odbyła się 5 maja 1946 na cmentarzu Montparnasse na grobach powstańca 1863 Pustowojtówny, gen. Lipowskiego obrońcy Châteaudun, Jana Rezkego ochotnika zmarłego za Francję, oraz poetki Smolskiej. Milczeniem uczczono pamięć zmarłych. Poczet sztandarowy Union Nationale des Anciens Combattants Français, organizacji liczącej 1.200.000 członków, brał udział w uroczystości.

Niezależnie od powyższego członkowie stowarzyszenia brali zawsze udział w różnych uroczystościach polskich, organizowanych przez Misję Katolicką, Związek Polaków we Francji, Sokół, Bibliotekę Polską, Świetlicę oficerską w Vincennes, Stowarzyszenie Artystów Polskich i t. p.

Na prowincji w Abbewille zorganizowana została doniosła uroczystość przyjaźni francusko-polskiej przez p. GilletteDemange w dniu 29 listopada 1945. 70 żołnierzy i oficerów polskich z obozu Lannoy zostało zaproszonych przez mieszkańców Abbeville. Wystąpili oni w teatrze miejskim ze swym chórem i zespołem tanecznym.

W Lille grupa Flandre-Artois bierze czynny udział we wszystkich imprezach francusko-polskich. P. Guinchard zorganizował w miejscowym radio „kwadrans przyjaźni francusko-polskiej", w którego ramach odbywają się występy chóru wojska polskiego oraz artystów francuskich. Stowarzyszenie ma do swej dyspozycji w centrum miasta okno wystawowe ze swoimi publikacjami oraz eksponatami polskimi.

W Rennes z inicjatywy p. Dodouit urządzony został żywy dzienniki polski, którego dochód w wysokości 150.000 frs. przeznaczony został na obóz polski w Saint-Médard. P. Rozelet założyła grupę uniwersytecką stowarzyszenia, wygłasza periodyczne pogadanki na temat Polski oraz dokonuje adaptacji radiowych polskich utworów literackich. Miejscowa prasa zamieszcza doskonale napisane artykuły na temat aktualnej sytuacji w Polsce. W ciągu miesiąca maja 1945 zorganizowano w Rennes 7 uroczystości i imprez: odczyt dla studentów, dla szerszej publiczności, 2 pogadanki w radio, zebranie informacyjne w sali Sztuk Pięknych, święto dzieci polskich oraz uroczystość 3 Maja, która była obchodzona we wszystkich szkołach publicznych i prywatnych nie tylko w Rennes, ale także w 7 departamentach bretońskich.

W innych miejscowościach, jak np. w Nancy wygłosił odczyt 18 maja 1945 p. André Lucquin. W wyniku 85 studentów założyło grupę uniwersytecką Tow. Prz. Pol. Następnego dnia tenże prelegent mówił w sali Poirel, po czym odbył się koncert Z. Dygata. 20 maja przemawiał p. M. Lucquin w teatrze miejskim w Verdun.

P. Smolska wystąpiła w odczycie-koncercie o Chopenie w Luçon, w Sables d'Olonne. Niezależnie od tych imprez Tow. Przyj. Pol. rozwija bardzo ożywioną działalność wydawniczą. pomimo istniejących trudności w uzyskaniu przydziału papieru. W nakładach od 5 do 10 tysięcy egz. ukazały się: Apel Przyjaciół Polski, Udział Polaków w Zwycięstwie, Ofiara Warszawy, Warszawa w czasie wojny (utwory powstańcze), Pomoc polska dla uchodźców francuskich (J. Brilhac). P. Rosa Bailly wydała własnym kosztem w ilości 1.500 sztuk pamiątkową plakietę z napisem „Żołnierze Polscy".

Towarzystwo Przyjaciół Polski organizuje wreszcie pomoc doraźną w różnej postaci, pracuje nad pogłębieniem stosunków towarzyskich między obu społeczeństwami, udziela zasiłków jednorazowych uchodźcom polskim, organizuje wysyłkę paczek do Polski, wizytuje szpitale, w których przebywają ranni i chorzy żołnierze polscy, pośredniczy w przyjmowaniu do rodzin francuskich żołnierzy polskich, urządza dla obozów polskich święta Bożego Narodzenia, P. Rosa Bailly oddała do dyspozycji polskich inwalidów wojennych we Francji swoją posiadłość Châtele-sur-Saône (Côte-d'Or), gdzie założona została szkoła, umożliwiająca inwalidom przeszkolenie zawodowe.

Jeśli uprzytomnimy sobie ciężkie warunki moralne i materialne powojennego życia we Francji — to wszechstronna działalność Towarzystwa Przyjaciół Polski, osiągnięte dotychczas rezultaty, nabierają szczególnej wagi w dziedzinie utrwalenia stosunków przyjaźni między narodem polskim i francuskim.

# POLOGNE 1919-1939

Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne w języku franc., obrazujące całokształt dorobku Polski w okresie 20-lecia

Całość Wydawnictwa obejmuje 3 tomy przy współpracy z górą 100 autorów. Liczne mapy i wykresy

Tom I — **ŻYCIE POLITYCZNE I SPOŁECZNE**

Historia, Zagadnienia prawne, Polityka społeczna, Polacy zagranicą, Wyznania, Mniejszości Narodowe, Obrona narodowa. Str. 590. Cena 21.— Frs.

Tom II — **ŻYCIE GOSPODARCZE**

Opis geograficzny, Surowce, Opis demograficzny, Rolnictwo, Przemysł, Handel, Inwestycje publiczne, Finanse. Str. 712. Cena 24.— Frs.

Tom III — **ŻYCIE KULTURALNE**

Literatura, Szkolnictwo, Nauka, Sztuka, Inne dziedziny życia kulturalnego. Około 600 str. (w druku).

---

**Nakładem Domu Wydawniczego »LA BACONNIÈRE« — BOUDRY (Neuchâtel) Szwajcaria**

Na powyższy adres kierować należy zamówienia wydawnictwa na warunkach przedpłaty

Przedpłata:

**Całość (trzy tomy) — Cena 60.— Frs.**

Nr. konta czekowego: Neuchâtel IV. 1226 — Lyon 1313-61.

---

Wszelkich dodatkowych informacyj udziela Redakcja Wydawnictwa

**(18, Av. de Péolles, Fribourg, Suisse)**

*Adres Redakcji:* Fribourg, Case postale 247, Suisse, Tél. 21892 — Konto czekowe IIa 3219.
V. Troller — HORYZONTY, Fribourg.

Wpłaty zagraniczne: przez bank w miejscu zamieszkania z poleceniem przesłania dla: Schweizerische Volksbank, Solothurn, Schweiz.

*Editeur:* Vérène Troller. *Redaktor:* Eugeniusz Lukas. *Administracja:* Marian Respond.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo zmian w rękopisach.
Prawa przedruku zastrzeżone. Drukarnia Vogt-Schild S. A., Soleure, Suisse.

Prenumerata w Szwajcarii: rocznie 12 Frs., półrocznie 7 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.20 Frs.
Prenumerata za granicą: rocznie 15 Frs., półrocznie 9 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.50 Frs.

Cena: Prix: **1.20 Frs.** Za granicą: A l'étranger: **1.50 Frs.**